Nr. 50. Warszawa, dnia 2 (15) Grudnia 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Z rokiem bieżącym **Prawda** *kończy dwadzieścia lat życia. Sam fakt tak długiego istnienia pisma, utrzymywanego jedynie nakładem swych abonentów, unikającego starannie wszelkich środków spekulacyi wydawniczej, nieposługującego się żadną reklamą, niepopieranego usługami żadnych syndykatów i sojuszów literackich, a nawet tendencyjnie zasłanianego z tej strony przed uwagą ogółu, sam ten fakt stanowi wymowne i zaszczytne dla nas świadectwo. Widocznie w tym naszym organie tkwi żywotność zdrowa, siła niezwalczona i niezużyta, czysta, samolubstwem ani obłudą niepokalana. Skutkiem tego przekonania mamy nietylko uzasadnioną śmiałość, ale także — jak sądzimy — zasłużone prawo odzywania się do naszych prenumeratorów o dalszą życzliwość i zapewnienie potrzebnych warunków naszej pracy publicznej i obywatelskiej.*

Jak zawsze, tak i tym razem, nie wprawiamy w naszą zapowiedź migotliwych i różnobarwnych świecidełek prospektowych, które przed nowym rokiem błyszczą jak klejnoty, a potem okazują się szkiełkami. Podobne mamidła uważamy za niegodne zarówno nas, jak Was. Poważny organ może dać poważnym czytelnikom tylko jedno przyrzeczenie — spełnienia swego obowiązku z największym wysiłkiem i najlepszą wolą.

Po za tem ogólnem zapewnieniem, którego wedle możności dotrzymywaliśmy wiernie i sumiennie przez lat dwadzieścia, zaznaczymy tylko, że przyszłoroczny dodatek kwartalny poświęcimy

Wiekowi XIX.

Będzie to ogólny obraz najważniejszych zdarzeń, dzieł i zdobyczy kończącego się stulecia w rozmaitych dziedzinach jego życia, pracy i twórczości.

Niemożność dostarczenia spóźnionym abonentom wyczerpanych numerów **Prawdy** *na początku tego roku każe nam ze szczególnym naciskiem ponowić prośbę o wczesne nadsyłanie przedpłaty, gdyż wtedy tylko możemy zadośćuczynić wszelkim żądaniom.*

POLITYKA.

ROZRZEWNIAJĄCY MINISTER.

Niemieckie stronnictwo Środka, nie mogąc jezuitów wprowadzić drzwiami, postanowiło wybić dla nich umyślny otwór w sklepieniu. Gdy rada związkowa stale odrzucała peryodycznie w sejmie czynione, a w ostatnich latach nawet przyjmowane, wnioski, wpadło stronnictwo broniące przedewszystkiem interesów katolicyzmu w Niemczech na pomysł zrobienia zasadniczego wyłomu w prawie publicznem Rzeszy; skorzystaliby z niego wszyscy, skorzystaliby i jezuici. Już nie przywilej wobec zakazów, ale prawo wszelkie zakazy miażdżące, zapewniłoby tę swobodę ruchów, którą rząd i sejm w słynnych Prawach Majowych katolicyzmowi odjęły. Ogólnikowe zapewnienia konstytucyi pruskiej, bardziej jeszcze mdłe i domniemaniami raczej, niż wyraźnem twierdzeniem żyjące uprawnienie, jakie daje konstytucya związkowa z d. 16 kwietnia 1871 r., zastąpiłaby powszechne, już nietylko sam katolicyzm, ale wszelkie wyznania chrześciańskie obejmujące, prawo wolności religijnej. Punkt wyjścia — egoizm, punkt dojścia — pożytek dla wszystkich. Nie bardzo tam dba o tych „wszystkich“ stronnictwo katolickie w Niemczech, ale przez „wszystkich“ musi się przedostawać do praw dla siebie.

Projekt pod koniec listopada wniesiony przez Liebera, przewódcę Centrum, zaczyna od zapewnienia każdemu Niemcowi zupełnej wolności: a) wyznawania religii, jaką

sobie upodoba; b) wspólnego wykonywania obrzędów i obowiązków religijnych tak w domu, jak w świątyni. Dziecko do lat 12 ma religię ojca lub matki, odtąd według własnego wyboru. Jaką kto religię wyznaje, takie też powinien mieć i wychowanie religijne. Wystąpienie z danego zgromadzenia wiernych, z kościoła, ważne jest dopiero po stwierdzeniu go sądowem. Wolno urządzać gminy religijne i urzędy duchowne, nie opowiadając się rządowi. Na tem kończy się konstytucya swobody wyznań, dość szczupła a nie dość wyraźna. Żywiej zajmuje się wnioskodawca stowarzyszeniami religijnemi, zakonami, bo też głównie miał je na celu. Każde takie stowarzyszenie uznano w jednym z krajów niemieckich, ruszać się może swobodnie we wszystkich. Wolno mu dawać chrzty, śluby, odprawiać pogrzeby — niezależnie od urządzeń państwowych, ale z poszanowaniem świeckich praw państwa. Każde stowarzyszenie może urządzać misye. Wszelkie zjednoczenia, związki, spółki wewnątrz wyznania dozwolonego na terytoryum Rzeszy są zupełnie swobodne zarówno wobec państwa jak gminy państwowej. Rzecz prosta, że i wyznaniom i zespólniom w ich łonie wolno jest budować świątynie z wieżami i dzwonami.

Dnia 5 b. m. zaczęła się w sejmie cesarstwa pierwsze odczytywanie projektu, który nazwano wnioskiem tolerancyjnym. Kanclerz Bülow zgotował sejmowi niespodziankę: przed rozpoczęciem czytania oświadczył, że wniosek, jako niekonstytucyjny, rada związkowa z góry już uznaje za nienadający się do przyjęcia. Troskliwość o konstytucyę i konstytucyjność, prawdziwie rozrzewniająca! W usprawiedliwieniu odmowy p. Bülow wystąpił z komplimentem, że rada związkowa szanuje przekonania i uczucia złożone we wniosku, ale nie chce naruszać praw poszczególnych krain niemieckich. Kanclerz sam musi czuwać nad nietykalnością porządku konstytucyjnego, łączącego pojedyncze państwa w jeden związek, w rzeszę. Jak gdyby tylu już prawami łamiącemi partykularyzm sejm i rząd związkowy nie zrobiły dotychczas wyłomów wystarczających do zdobycia fortecy! Zostawiając naiwność panienkom, w ministrze można dopatrzyć się tylko wielkiej obawy o jezuitów i o Prusy, które protestantyzmem swoim długo jeszcze ciążyć będą, jeśli nie na prawach, to na pretensyach i marzeniach katolicyzmu.

Cięcie kanclerskie nie wstrzymało zwykłego prawodawczego roztrząsania. Owszem, sejm odesłał projekt beznadziejny do komisyi, tak jak każdy inny, któryby miał nadzieję przedostania się przez konstytucyjną strażnicę związku. Może tam jeszcze w tej komisyi uda się zrobić coś nie wywołującego w radzie szlachetnych konstytucyjnych wstrętów.

Dla Amerykanina cała ta kampania liberowska i cała ta lojalność kanclerska są czemś niezrozumiałem ze stanowiska praw, któremi on sam rządzi się u siebie. Wolność wyznaniom religijnym Amerykanin zapewnia nie prawami, ale zupełnem o nich milczeniem, i to jest rękojmia najlepsza. Kongres od lat 110 milczy, bo mu konstytucya milczeć nakazuje. Poprawka konstytucyjna z d. 15 grudnia 1791 r. nie pozwala kongresowi zajmować się zarówno ustanawianiem nowych kościołów, jak i, choćby najlżejszem, ograniczaniem wyznań już istniejących i obrzędów religijnych już odbywanych. Całe życie religijne Stanów Zjednoczonych odbywa się po za konstytucyą i kongresem, tak samo jak w obręb ich mocy i władzy nie padają ani szkoły, ani nauki, ani oświata wogóle. Są to sprawy czysto społeczne; państwo reguluje je tylko ogólnymi przepisami swobody osobistej, zbiorowej i konieczności zewnętrznego policyjnego porządku. Nikt tam nie zna etatów duchowieństwa, funduszów religijnych, nominacyi kapłanów i biskupów, dręczących pozwoleń, zakazów, przymusów. Każdy sam o sobie myśli: myśleć też musi i wyznanie; upadnie, to jego wina. Każdemu wolno robić, co zechce, jeśli tylko nie narusza praw innych: każdy też może wyznawać, co chce i jak chce. Jezuita jest równie dobry jak bezwyznaniowiec. Nikt z Chrystusem w imię Chrystusa nie walczy, nikt miłości bliźniego nie zasiewa nienawiścią. Nie prędko jeszcze zbliży się Europa do Ameryki.

REPTILIADY PIEŚŃ OSTATNIA.

Berlin, 8 grudnia.

Żaden bóg pogański nie był osnuty tyloma różnorodnemi pasmami legend, dotyczących jego działalności, stosunków i wpływu na losy świata, co nowoczesny Polak. Mitologia „oficyałów" przedstawia go dotąd jako istotę bajeczną, obdarzoną własnościami wzajemnie wyłączającemi się, którą Homerowie i Hezyodowie, siedzący około „gadzinowego funduszu," źródła ich natchnień, opiewają w swych dziennikarskich rapsodach najrozmaiciej. Według jednych — albo też jednego razu — jest to gatunek wymierający, bezpłodny, który już tylko w przypiskach do zoologii politycznej powinien być wspominany; według innych — albo też innym razem — jest to rodzaj nadzwyczaj żywotny, płodny i żarłoczny. W tych samych gazetach czytamy pewnego dnia, że Polacy są dziś już tylko uprzykrzonym kurzem w domach państwowych Europy, który z jej ścian, podłóg i sprzętów ciągle należy ścierać, a za miesiąc dowiadujemy się, że oni pod tymi gmachami są strasznym wulkanem, który ciągle wre i grozi zagładą.

W snuciu tego mitu najpiękniejsze palmy epickie zdobyli Niemcy, których urzędowi Homerowie nie są ślepi, ale za to mają bezdenne i „gadzinowym funduszem" nienasycone brzuchy. Jeden z tych czcigodnych pieśniarzów ujął znowu swą lutnię i żałosnym głosem wyskandował swym ziomkom w *Berl. Korrespondenz* opowieść o „polskiem niebezpieczeństwie." Jak wiadomo, według oficyałów niemieckich Polacy są rodzajem żubrów — wymierają i niedługo ich okazy będzie można tylko widzieć żywe w zwierzyńcach politycznych lub wypchane w muzeach. Tymczasem według rapsodu w *Berl. Korresp.* mnożą się oni przerażająco, gdyż od r. 1890 do 1898 w samych Prusach liczba ich wzrosła o 150,000 głów. Więc to nie żubry?

Wiadomo również, że jest to szczep cywilizacyjnie a nadewszystko ekonomicznie słaby i tak dalece nieudolny, że dotąd przysłowie: „polskie gospodarstwo" jest w języku niemieckim nazwą ostatniego bezładu. Tymczasem śpiewak w *Berl. Korrespondenz* poucza nas, że ludność polska w Prusach pod względem „energii, celowości i porządku w pracy" zdumiewa swoje germańskie otoczenie. Dowodem tej siły i postępu ekonomicznego ma być fakt, że od r. 1897 do 1899 w ostatecznym rachunku z rąk niemieckich przeszło do polskich 1,824 posiadłości, obejmujących 10,586 hektarów ziemi.

Ta część prasy niemieckiej, która zna swoich Tyrteuszów, domyśla się, co znaczy żałosna pieśń w łamach *Berl. Korrespondenz.* Znaczy ona, że szruba antipolskiego karczownika będzie mocniej przykręcona. Ale jednocześnie w tej prasie wynurza się pytanie: jeżeli owa maszyna, zwana „ausrotten" tak źle działa i zamiast wyrywać z korzeniami chwasty polskie, spulchnia im rolę, czy nie należałoby porzucić bezużytecznego narzędzia? Rzeczywiście, taką radę dałaby logika zwyczajna, ta, którą wykładają na uniwersytetach niemieckich, ale logik jest bardzo dużo, a między wieloma innemi ta, która wszystkim parobkom, obsługującym złą maszynę, każe pragnąć ciągłego stosowania jej, jeżeli ona daje im zarobek. Wyobraźmy sobie, co by się stało z całą dziennikarską i urzędniczą czeladzią, gdyby „polnische Gefahr" uznano zostało za strach na wróble — czem w istocie jest, co by się stało z kołami, kółkami, trybami, pasami komisyi kolonizacyjnej i z tymi artystami kłamstwa i podejrzeń, których obowiązkiem jest ciągle „malować dyabła na ścianie?" *Man muss leben* — to przykazanie obowiązujące, a *leben lassen* — to — jak mawiał Bismarck — *Sentimentalität!*

W epoce, w której głośno i jawnie tłomaczy się zgnębionemu Krügerowi: wasza krzywda jest wielka, gwałt Anglików ohydny, ale polityka... w takiej epoce niepodobna łudzić się, ażeby słabe tchnienie rozumu i sumienia opinii publicznej mogło oddziałać na zamiary i roboty, które wysławia *Berl. Korrespondenz.* Nie w tym też celu targnęliśmy najemnego rapsodystę za brodę. Chcieliśmy tylko ze smutnej sprawy wypruć nitkę humoru. Czasem warto i przyjemnie w bezczelną twarz bryznąć śmiechem.

J.

Tydzień polityczny. Tydzień bieżący miał w Pekinie zacząć się obejrzeniem pełnomocnictw Czynga i Li-Chung Czanga przez posłów europejskich i doręczeniem pełnomocnikom — gdyby się dostatecznie umocowanymi wydali — warunków pokoju ostatecznie już nareszcie teraz ułożonych. Aby nie sprawić przykrości cesarzowi Wilhelmowi, nawet półurzędownie warunki te nie będą ogłoszone. Zemsty grubej, zwierzęcej, *jus talionis* przypominającej — ideału właśnie cesarskiego w tych warunkach napewno już niema. Pytanie nawet, czy są i wszystkie punkta znacznie już obciętego wykazu kar grożących Chinom. Forty Taku, zdaje się, ocaleją. W Tien-tsinie zaczęła wielogłowa dyktatura już dzieło zniszczenia, biorąc pochop z burzenia się ludu i pełzającej wśród niego niegodziwości bokserskiej. Wynagrodzenie będzie, ale przy wzajemności rachunków. Niszczyli i Europejczycy podczas swoich wypraw karnych: szkodę wynagrodzić powinni. Rabusiowstwo wchodzi w obyczaje europejskie: z Pekinu Niemcy postanowili zagrabić do Europy połowę przyrządów astronomicznych, zostawionych tam przez jezuitów w wieku XVII; drugą połowę zabrać mieli, z wrogów śmiertelnych sprzymierzeńcy czuli, Francuzi. Ci jednak otrzymali z Paryża rozkaz uszanowania cudzej własności i zarazem pięknej pamiątki. Generalissimus od rabunków, Waldersee, ma milczące upoważnienie z Berlina. Gen. amerykański, Chaffee, który do niego ostry list napisał, musiał go przeprosić.

Cesarz chiński podobno ma ochotę wrócić do Pekinu i cesarzowa wdowa pozbyła się już swej odrazy. Warunkiem jest opuszczenie stolicy przez wojska cudzoziemskie — warunek nader logiczny. Nie miałby władca Chin żadnej pewno-

ści, czy Waldersee nie dopuści się gwałtu nawet na jego osobie. Aresztowanie sekretarza Li-Chung-Czanga jest rzeczywiście złą wróżbą.

W Transwalu Dewet w Oranii nad Kaledonem osaczony, a w Europie Krüger osamotniony, opuszczony, nieprzyjmowany, odpychany — samotny w mrokach lodowatego stepu dyplomacyi. Nawet w pra-ojczyźnie królowa Wilhelmina lękała się przyjąć go urzędownie, choć przecież minister Beaufort mógł być pewnym, że Anglia o Krugera wojny nie wyda, a gdyby wydała, zawiść nie pozwoliłaby jej zrobić z Holandyi tego, co zrobiła z Transwalem. W Berlinie interpelowano rząd, który się zaraz mądrością wykręcił. W Monachium zwołano wiec umyślny. Z tych pąków nie będzie kwiatów. Nawet o ludzie niemieckim mówić nie można dodatnio; większość sejmu przyklasnęła wyjaśnieniom.

Izby angielskie zwołane umyślnie, aby dały pieniędzy, słuchają mów Chamberlaina, specyalisty od mordów międzynarodowych. Zajmująco wywnętrzył się Salisbury: będzie autonomia, ale dopiero gdy dzisiejsze pokolenie wymrze; tymczasem jedno państwo z Przylądkiem; w Oranii rządy wojskowe.—Roberts już w Capetown, może w tej chwili płynie do Europy. Leci za nim krzyk z rumowisk i zgliszcz burzonych osad — czyn angielski w ostatnich dniach ustępującego wieku. Statystyka podaje siły angielskie, sprowadzone do Afryki na 270,000. Wierzyć się nie chce, aby z takiem okrucieństwem mogło się złączyć takie niedołęztwo.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PRAWICA I LEWICA LUDZKOŚCI.

Dnia 9 grudnia telegraf rozniósł po świecie „o nowem zwycięztwie Waldeck-Rousseau'a w parlamencie francuskim, który 409 głosami przeciw 132 odrzucił wniosek Vigne'ego, żądający śledztwa parlamentarnego w sprawie barbarzyńskiego zachowania się francuskich władz kolonialnych wobec krajowców..." Z depeszy tej bije radość, tryumf. Kto i kogo zwyciężył? Waldeck-Rousseau'a wszyscy znamy, ale kto jest p. Vigne, wie bardzo niewielu. Paul Vigné (d'Octon) jest to sobie skromny deputowany, który w charakterze lekarza wojskowego dziesięć lat spędził w koloniach francuskich, poznał doskonale tamtejsze stosunki i... „przestał być patryotą." Napisał znakomitą książkę o „Sławie oręża" (*Gloire du Sabre*), która według zdania Francuzów „jest obecnie na rękę tylko Anglikom," gdyż wykazuje, że chwilowi czciciele Krugera popełniają u siebie te same okrucieństwa. Książka p. Vigne i mowa jego w parlamencie pełno są takich wstrząsających szczegółów, że twarz czytelnika blednie, że serce jego cierpi niewymownie i czuje on, jak pęka wszelka, ale to bezwzględnie wszelka spójnia między nim i tymi, którzy *to* spełnili... P. Vigne wystąpił uzbrojony w dokumenty, a w przedmowie do swej książki, dedykowanej ministrowi kolonii, żąda albo oddania siebie pod sąd za oszczerstwo, albo ukarania wskazanych osobistości... Niestety: Waldeck Rousseau zwyciężył, obwinieni uzyskali nawet *odznaczenia!* Myśliciela dziwić to nie powinno — na arenie życia, nawet na pierwszym jej planie uwija się obecnie dużo takich osobników. Do nich należą Chamberlain, Cecil Rodes, Roberts, generał Gallieni, hrabia Waldersee i wielu innych z tych, co tą chwalą się „wiele wsi spalili, wielu zamordowali Chińczyków..." Pamiętne są jeszcze tryumfy Stanleya, reportera, który dzięki swym zbrodniom wyrósł po nad tłumy. Przerzucając jego podróżnicze ramoty, badacz przyszłości nie będzie w stanie docieć innego źródła jego rozgłosu, gdyż odkrycia Stanleya są tak nikłe i wątpliwe w porównaniu z jego występkami, iż historya rychło o nich zapomni. Wiadomości z zakresu geografii, których on dostarczył, ludzkość zdobyła już, lub gotowała się zdobyć sobie innemi, czystemi rękami. Wszak pierwsza wyprawa Stanleya miała na celu odszukanie Livingstone'a, który przebył te same knieje *bez broni*. Konieczność przelewu krwi w podróżach jest *wymysłem*, zarówno jak legenda o obłąkaniu zwrotnikowem, wynalezionem przez zbrodniarzy dla usprawiedliwienia siebie. Nasz Kubary twierdził, że *broń* w stosunkach z krajowcami *przeszkadza*, że potrzebną jest wyłącznie na dzikie zwierzęta. Podróżnik N. Potanin, który był trzy razy w głębi Chin i wielokroć przeszedł wzdłuż i w poprzek Mongolię, nigdy nie miał konwoju i żadnej innej *broni, prócz noża do krajania chleba*. Mówił mi, że raz tylko miał zajście, gdy zabłądził i przez nieświadomość wjechał na koniu na poświęcone miejsce. „Osobiście miewałem przykrości z krajowcami tylko tam, gdzie biali popełnili przedtem nad nimi gwałty. Nieraz poruszałem się i pracowałem również w temperaturze przenoszącej 40° ciepła, a jednak nigdy nie czułem potrzeby przelewu krwi." Zresztą tysiące misyonarzy wciąż błądzi po globie ziemskim w rozmaitych strefach i nie skarżą się na wściekliznę zwrotnikową, często nie noszą nawet wcale *broni*. Mordów podróżniczych, wymagań i łupieży nie mogą usprawiedliwić żadne przygody, jak zabójstwa nie może usprawiedliwić ciekawość do zwiedzenia cudzego mieszkania. Kto chce zwiedzać cudze kraje, musi być przygotowany, że go obedrą ze skóry! To darmo! Jest „białym," a więc zasłużył na nazwę, która, rzecz charakterystyczna, u *wszystkich* ludów kolorowych znaczy to samo co: łupieżca, zbrodzień, oprawca, szatan, straszydło... Podróżnika zazwyczaj krzywdzą za czyny jego poprzednika i nigdy, może, szlachetny osobnik nie odczuwa boleśniej niesprawiedliwości tych powierzchownych uogólnień, opartych na kolorze skóry, mowie, pochodzeniu... Właściwie cała ludzkość rozpada się na dwa ogromne odłamy: *ludzi dobrych*, życzliwych dla wszystkiego co żyje, czuje i cierpi i *ludzi złych*, życzliwych tylko dla samych siebie. Mocą dziejowego rozwoju pokrewieństwo dusz coraz dobitniej występuje na plan pierwszy, podczas gdy rasa, mowa, wierzenia uchodzą na plan drugi, nabierają cech prostych przyrodzonych środowisk, gdzie jednostka czuje się najszczęśliwszą nie dlatego, że jest to środowisko najlepsze, lecz dlatego, że jest to własne jego tworzywo, gdzie mu najłatwiej wyładować cały zapas sił i uzdolnień, gdzie czuje się ona najswobodniej, gdyż może zadowolić zupełnie wszystkie, nawet najdrobniejsze i najsubtelniejsze swe potrzeby materyalne i niemateryalne.

Ale większość ludzkości nie odczuwa jeszcze świadomie pokrewieństwa wewnętrznego po przez rasy i warstwy. Tylko wytworniejsze pod względem duchowym osobniki w pewnych wypadkach przekładają obcowanie z ludźmi dzikimi lub prostakami nad towarzystwo współplemieńców oraz ludzi ukształconych, ale należących do gatunku „złych." Różnice tych dwóch typów duchowych uważam za tak ważne, że tworzą one według mnie, już nie odmiany, lecz *gatunki*. Jaskiniowe uczucia, prognatyzm myśli oraz zupełny brak pewnych oddźwięków służą za cechy bardziej dosadne, niż wstrętne szczęki ludożerców lub niskie ich czoła. Bez względu na ich zewnętrzną kulturę myśliciel może patrzeć na nich z politowaniem i ciekawością, jak na jakąś gromadę małpoludów, ale nie może nie dostrzegać przepaści, jaka oddzieliła tych osobników od istotnego pnia ludzkości. Gdy tymczasem do tego pnia bezwarunkowo należy ów murzyn, który podał owoc głodnemu podróżnikowi lub ów śmieszny, cuchnący Chińczyk, który zawrócił umyślnie na rozdroże, aby zbłąkanemu cudzoziemcowi wskazać właściwy kierunek. Oba typy wciąż żyją obok siebie w tych samych społeczeństwach, często tych samych towarzyskich kołach, ale coraz mniej pojmują siebie i coraz dalej od siebie odchodzą.

Nie dostrzegam, naprzykład, najmniejszego związku między Chamberlainem a ewangeliczną duszą v. Egidy'ego. Chyba ta, że znakomity filantrop i tego jegomościa ogarniał bezwątpienia swoją *litością*, jako istotę zdolną do cierpienia. Angielski leader, odarty z insygniów i odzienia, zapewne też przedstawiałby twór dwunogi, drżący od zimna; po paru tygodniach głodu i nędzy, członki jego wychudłyby i zczerniały, jak członki jego indyjskich poddanych, a uderzony w piersi bagnetem i on upadłby pewnie z jękiem, podobnym do jęku boerskiego wyrostka. Ale tu przecina się podobieństwo jego do *człowieka*, gdyż Chamberlain nigdy *dobrym* nie był, a przynajmniej my nic o jego *dobroci* nie wiemy, lecz wiemy tylko o jego okrucieństwach i zdradach.

Żadne względy praktyczne nie mogą obalić tej zasady, że dwunogie stworzenia o tyle tylko są ludźmi, o ile umieją współczuć i świadczyć dobro. Poniżej tego poziomu istnieje mniej lub więcej kunsztownie wychowane zwierzę. Ślepcom pełzającym wśród zajęć codziennych często doły kartoflane zakrywają widnokręgi, podstępni często odwracają uwagę od własnych przewinień okrzykiem: „dom się pali!", ale są to fałszywe alarmy, dające nietrwałe powodzenie. Ludzkość *musi* stać się dobrą, wrażliwą, szlachetną lub zginąć... Orli jej polot wstrzymują rozmaite historyczne przeżytki, ale tak było zawsze, a przecie dała sobie z nimi radę! Przez wielki wstyd i wielkie cierpienia dusza [illegible]

Wacław Sieroszewski.

Z ETYKI LEKARSKIEJ.

„Ściśle fachowa strona działalności lekarza nie wyczerpuje całego stosunku jego do pacyenta. Do należytego wywiązania się z zadania nie zawsze wystarcza panowanie nad obraną dziedziną, posiadanie technicznej strony sztuki, oraz przeświadczenie, że działa się w najlepszych zamiarach. Interesy zdrowia osoby, będącej przedmiotem naszych starań, są nieraz silnie związane z takimiż interesami osób innych lub ze względami obcej natury; mając na uwadze wyłącznie jedno, łatwo jest nadwyrężyć inne. To samo można powiedzieć o pracy na polu naukowem: cele nauki nie zawsze dają się utożsamić z dobrem chorego. Zarówno bowiem akcya ratunkowa, jak i badania naukowe, jeśli im przewodniczy kierunek zbyt jednostronny, mogą nas doprowadzić do punktu, gdzie względy korzyści jednostronnej ścierają się z wymaganiami sprawiedliwości i słuszności."

Takim ustępem rozpoczyna dr. E. Sonnenberg *) nową swoją pracę o granicach władzy zawodowej lekarza ze stanowiska etyki i prawa. Działalność lekarska spotkała na drodze swojej zawady prawne, nieprzewidywane przez kodeks istniejący. Dziecko jest dotknięte niemocą, która je wycieńcza i zagraża, po dłuższem jej trwaniu, śmiercią. Ale rodzice sprzeciwiają się operacyi chirurgicznej, która jedynie zdołałaby je ocalić. Lekarz jednak dokonywa

*) „Granice władzy zawodowej lekarza ze stanowiska prawa i etyki." Łódź. Str. 33.

w szpitalu operacyi, uzdrawiającej dziecko kosztem amputacyi jednej z kończyn, w odpowiedzi na to rodzice wytaczają mu sprawę. Żona jest chora, jedyny sposób jej ocalenia polega znowu na operacyi, ale mąż, z obawy o zdrowie i życie żony, lub z innych, brudnej natury pobudek, sprzeciwia się zamiarom lekarzy, a gdy ci, mając przyzwolenie chorej, dokonali nieszczęśliwej operacyi, wytacza im proces. Choremu w chwili niebezpieczeństwa amputują nogę, ten zaś występuje sądownie z żądaniem odszkodowania, bo gdy go usypiano, nic mu nie powiedziano o możliwej operacyi. Takie i inne przypadki zdarzają się dość często w życiu, sprowadzając zatarg między lekarzem a pacyentem i wykazując braki w naszem prawodawstwie dotychczasowem. Dopiero obecnie, pod naciskiem potrzeb życia, luki te zostają zapełniane. Ale co do ducha, przenikającego te dopełnienia prawodawstwa, przedstawia on niejednolity charakter w różnych krajach. W Belgii sądy wymagają od lekarza stanowczego przyzwolenia rodziców na operacyę dziecka, tymczasem komisya, obradująca nad tą sprawą w jednem z towarzystw lekarskich w Petersburgu, jest zdania, że lekarz ma prawo dokonania operacyi wbrew odmowie rodziców, jeśli ta jest niesłuszna.

Naturalnie, nie jest rzeczą obojętną, w jaki sposób prawodawstwo załatwi te wszystkie zagadnienia i zatargi. Głos opinii publicznej nie może nie wywrzeć wpływu na brzmienie odpowiednich uzupełnień. Dlatego nietylko wspominamy o przyczynku dr. E. Sonnenberga, poruszającym tę kwestyę, ale nadto posprzeczamy się z nim niecoś co do jego stanowiska w niektórych przypadkach.

Zgadzamy się z nim najzupełniej, gdy powiada, że w razie operacyi nad dorosłą osobą, władającą w pełni wszystkiemi siłami umysłu, jej przyzwolenie jest rzeczą niezbędną. Lekarz powinien dokładnie zawiadamiać chorego o zabiegach zwłaszcza poważniejszych, jakie zamierza podjąć w interesie jego zdrowia lub życia, może, a nawet winien doradzać, lecz nigdy nie wybiegać po za tę miarę, ani nie wymuszać na pacyencie zezwolenia. Choremu należy pozostawić zupełną swobodę decyzyi. „Napotkawszy ze strony pacyenta opór, powinniśmy uznać, iż tu jest kres naszych zabiegów. Chociażby niezbędność interwencyi lekarskiej narzucała się nam z całą jasnością, nie możemy iść przebojem, gdyż rwąc się do czynu, naruszamy jego osobistą wolność i wdzieramy się w prywatne jego prawa.“

Niewątpliwie, inne postępowanie byłoby nadwyrężeniem zasadniczych praw indywidualności ludzkiej. Ale rozchodzimy się z dr. S., kiedy twierdzi, iż „wbrew woli nie wolno umieszczać w szpitalu osób, dotkniętych chorobą zakaźną.“ Wprawdzie i w tym razie zasada samodzielności osobistej każe nam przyznać jednostce prawo rozstrzygania o swoim losie, lecz ponieważ w grę wchodzi interes zasadniczy wielu innych jednostek, społeczeństwo, naszem zdaniem, posiada zupełną sankcyę moralną odosobnić chorego, tak samo, jak usuwa furyatów — w imię bezpieczeństwa ogólnego.

Również nie pojmujemy, dlaczego dr. S. oburza się na to, że lekarz może uledz prośbom osoby chorej beznadziejnie i uginającej się pod ciężarem cierpień a błagającej, ażeby ulitowano się nad nią i skrócono jej męczarnie, kiedy sztuka lekarska w żaden sposób nie może pomódz. Mniemamy bowiem, iż dojrzały człowiek posiada najzupełniejsze prawo rozporządzania życiem swojem i skrócenia pasma dni swoich, gdy on i lekarz nie widzą żadnego ocalenia, a pozostałe krótkie życie ma przejść wśród cierpień, a nawet, w razie nieuleczalnego obłąkania, w zupełnem zidyoceniu. Także nie pojmujemy, dlaczego w wypadku samobójstwa każdy z obecnych powinien nieść „według sił i możności“ pomoc ginącemu. Mniemamy raczej, iż należałoby uszanować cudze postanowienie i nie narzucać się z pomocą, za którą może nie będą nam wdzięczni. Co do samobójstwa, hołdujemy wciąż jeszcze przesądom, które zrodziły się przed setkami lat!

I co do praw rodziców względem dziecka rozchodzimy się z dr. S. Niegdyś dziecko uchodziło za bezwzględną własność swych rodziców: mogli je zaniedbywać, katować, nawet pożreć. Cały rozwój kultury nowoczesnej dąży w kierunku, podważającym starodawną zasadę, iż dziecko istnieje dla rodziców. Nie prosiło ono o życie, a nawet najczęściej rodzicom nie zależało na pojawieniu się potomka, którego uważają oni jako dość niepotrzebny rezultat chwil zadowolenia fizyologicznego. Całe wieki prawiono nam o obowiązkach dzieci względem rodziców, tymczasem nowoczesny rozwój moralny kładzie coraz większy nacisk na obowiązki rodziców względem dzieci. W imię tej moralności prawodawstwo amerykańskie stara się o znalezienie środków, uniemożliwiających epileptykom i chorym umysłowo pozostawianie potomstwa. W imię tej samej zasady prawo nasze odbiera dziecko rodzicom, jeśli ci systematycznie pastwią się nad niem. Nie możemy więc zrozumieć, dlaczego dr. S. występuje przeciw prawu ograniczenia samowoli rodzicielskiej, wynikającej z ciemnoty. „Jakkolwiek trudno zaprzeczyć, że pozostawienie rodzicom decyzyi w sprawach, dotyczących leczenia ich dzieci, ma nieraz następstwa smutne, zwłaszcza gdy rodzice są ciemni, przesądni lub samolubni, jednak na przymus, chociażby popełniony dla czyjegoś dobra, zgodzić się trudno: Nie można odrywać dziecka od ojca lub matki, nie należy rodziców pozbawiać ich przyrodzonego prawa opieki nad dziećmi!“ A czyż słusznem jest — pozwolimy sobie zapytać autora — ograniczać ich opiekę w razie katowania dziecka lub powstrzymać ich rękę, gdy chcą zniszczyć płód w łonie matki, drgający życiem?

Wogóle przyczynek dr. Sonnenberga odznacza się dobremi chęciami, ale logika jego nie grzeszy konsekwencyą, umysł zaś — oswobodzeniem się od przesądów.

Z ŻYCIA FRANCYI.

Paryż, w listopadzie.

Projekt prawa o trybunałach rozjemczych.

Na mocy dekretu prezydenta rzeczypospolitej z d. 14 listopada r. b. ministrowie: spraw wewnętrznych Waldeck-Rousseau oraz handlu i przemysłu, Millerand, złożyli w Izbie deputowanych następujący doniosły projekt prawa, który tu jak najdokładniej streszczamy.

Chodzi o zapobieganie wszelkim gwałtownym starciom między kapitałem i pracą za pomocą stałego i obowiązkowego odwoływania się do trybunału rozjemczego. Rząd jednak (o ile wiadomo, wbrew życzeniom Milleranda) nie chciał narzucić tego obowiązku wszystkim zakładom handlowym i przemysłowym, gdyż byłoby to, jak powiada wyjaśnienie ministeryalne, zbyt gwałtownem zerwaniem z panującemi zasadami prawnemi, dotyczącemi kontraktu o najmie. Poddanie się trybunałowi rozjemczemu jest obowiązkowem dla wszystkich zakładów, wykonywających jakiekolwiek zamówienia rządowe (np. armaty w Creusot, i inne), dla kolei żelaznych i wszelkich przedsiębiorstw, opartych na koncesyi rządowej; do koncesyj kopalnianych stosuje się to jednak tylko na przyszłość; departamenty i gminy *mogą* też włożyć ten obowiązek na swoich dostawców, przedsiębiorców i koncesyonaryuszów. Po za tem w przemyśle i handlu czysto prywatnym każdemu przedsiębiorcy pozostawiono swobodę zobowiązania się lub nie do korzystania z trybunału rozjemczego; zobowiązanie to wszakże, raz podjęte, jest nieodwołalne, a wybór między takim legalnym stosunkiem a pozostawieniem rzeczy po dawnemu, zrobiony być musi w chwili samego zawierania umowy najemnej w ten sposób, że właściciel każdego większego zakładu (nie mniej od 50 robotników) każdemu nowo przyjmowanemu robotnikowi wręcza kartkę drukowaną, opiewającą, czy w zakładzie prawo to jest stosowane, czy nie. Projektodawcy liczą widocznie na to, że robotnicy chętniej iść będą do zakładów, przyjmujących takie zobowiązanie.

W każdym zakładzie, gdzie prawo to jest stosowane, robotnicy mają swych stałych przedstawicieli wobec przedsiębiorców. Delegaci owi wybierani są corocznie przez robotników, po dwóch z każdego wydziału fabryki, terytoryalnego lub zawodowego, na jakie właściciel fabrykę podzieli. Kandydatami mogą być tylko robotnicy, pracujący od dwóch lat w każdym zakładzie lub, w braku takich, w zakładach tejże gałęzi, liczący najmniej lat 25, nie pozbawieni praw politycznych. Wyborcami są wszyscy robotnicy danego wydziału od lat 18 wieku. Kobiety mają też prawo wyborcze i wybieralności; pozbawieni są praw tych wszelkiego rodzaju majstrowie, dozorcy starsi itd. Listę wyborców i kandydatów ogłasza, wraz z datą i miejscem wyborów, właściciel zakładu najmniej na 10 dni przedtem. Przewodniczą wyborom sami robotnicy podług wieku. Głosowanie jest ściśle tajne, prawo bowiem wprowadza rękojmię, nieistniejącą nawet jeszcze (choć oddawna proponowaną) przy wyborach państwowych, mianowicie „pokoik odosabniający,“ przez który każdy głosujący przechodzi i gdzie, niewidziany przez nikogo, pisze swą kartkę i wkłada do jednakowej dla wszystkich koperty. Akta wyborów, protokóły muszą być przesyłane merowi, a wszelkie z obu stron protesty przeciw porządkowi wyborów i ich wynikom rozpatrywane są przez mieszany trybunał zawodowy (*conseil des prud'hommes*) lub przez sędziego pokoju.

Zadanie delegatów polega na pośredniczeniu między robotnikami a fabrykantami. Pierwsi zwracają się do nich ze swemi zażaleniami; drudzy obowiązani są wyznaczyć dnie i godziny, w których przedstawiciele ich przyjmują delegatów robotniczych, a przynajmniej raz na miesiąc musi ich przyjmować sam właściciel lub dyrektor.

Jeżeli ustne zażalenie nie zostanie uwzględnione, to na żądanie grupy robotników delegaci wręczają zażalenie na piśmie. W ciągu 48 godzin przedsiębiorca powinien dać również piśmienną odpowiedź; jeśli zaś zażalenia nadal uwzględnić nie chce, to może odrazu zaproponować sąd polubowny, podając nazwiska sędziów ze swej strony. W takim razie w przeciągu znowu 48 godzin robotnicy wyznaczają swoich sędziów w takiej samej ilości. Jeśli zaś w ciągu 48 godzin odpowiedzi od przedsiębiorcy nie było, lub jeśli sędziowie polubowni nie wydali wyroku w ciągu 6 dni, może nastąpić zawieszenie pracy.

Zawieszenie pracy może być uchwalone jedynie większością głosów robotników (od 18 lat), pracujących w zakładzie; zgromadzenie, zwołane przez delegatów najmniej na 6 godzin przedtem, odbywa się w lokalu, obowiązkowo dostarczonym przez mera, i jest tajne; nikt nieuprawniony do głosowania, czy to ze strony fabrykantów, czy robotników, nie może być obecny. Do powzięcia decyzyi trzeba, aby większość głosujących i obecnych równała się najmniej $^1/_3$ wszystkich uprawnionych. Protokół głosowania doręczony zostaje

merowi. Jeżeli zawieszenie pracy zostanie uchwalone przez większość, mniejszość musi poddać się uchwale; fabrykant nie ma prawa przyjmować innych robotników; jeżeli zawieszenie pracy zostało odrzucone, zwolennicy jego muszą też pracować dalej i wszelkie zażalenia muszą przedstawiać na nowo podług wyżej wzmiankowanej procedury. Co tydzień obowiązkowo odbywać się musi głosowanie nad trwaniem bezrobocia lub powrotem do pracy; robotnicy, którzyby znaleźli pracę w innym zakładzie lub opuścili daną miejscowość, już w niem udziału nie biorą.

Z chwilą ogłoszenia bezrobocia wkracza natychmiast obowiązkowy już, urzędowy, a nie dobrowolny trybunał rozjemczy, a jest nim odpowiednia sekcya zawodowa, t. zw. *rady pracy*. Te *Conseils du travail* ustanowione zostały, na wzór belgijskich, dekretem prezydenta rzeczypospolitej z d. 17 września r. b., wydanym na propozycyę ministra handlu i przemysłu, Millerauda. Są to komisye departamentalne i powiatowe mieszane, złożone w każdej sekcyi fachowej z jednakowej ilości przedsiębiorców i robotników (bez różnicy płci), a mające za zadanie oprócz tego: prowadzić ankiety, ustanawiać faktyczne normy przeciętne płac i godzin pracy, mogące służyć za podstawę umów, wydawać opinie o instytucyach patronalnych lub robotniczych, ubiegających się o zapomogi rządowe. Wyborcami członków tych rad, a więc przypuszczalnych sędziów strejkowych, nie są już całe masy robotnicze, jak w wypadku delegatów fabrycznych, ale tylko z obu stron, czy to fabrykanci, czy robotnicy *zorganizowani* w stowarzyszenia zawodowe.

Sekcya tedy fachowa rady pracy wydaje wyrok, który zakończa bezrobocie i wchodzi w życie z chwilą powrotu do pracy (również, jeśli ten powrót poprzedził wydanie wyroku), a posiada moc obowiązującą w ciągu 6 miesięcy. Złamanie go pociąga za sobą pozbawienie winowajców na lat 3, a w razie recydywy na lat 6 prawa udziału we wszelkich wyborach zawodowych, nietylko w przewidzianych niniejszym projektem, ale i w syndykatach, izbach handlowych, sądach przemysłowych itp. Surowsza daleko kara (do roku więzienia i 2,000 fr. kary) spotyka tych, którzyby „gwałtem, darami, obietnicami, groźbą utraty zarobku lub uszkodzenia osoby czy majątku“ starali się wpływać na głosujących lub przeszkodzić pełnieniu czynności delegatów albo arbitrów.

Tak wygląda projekt prawa, wywołujący tu żywe, gwałtowne dyskusye ze stron obu. Mimo pozorów, nie jest on zupełną nowością. *Expose* ministeryalne przypomina, że istnieje już we Francyi prawo z d. 27 grudnia 1892 r., ustanawiające *dobrowolne* komitety rozjemcze na wypadek strejków. Niestety, wpływ tych dobrowolnych rozjemców sprowadza się, jeśli nie do zera, to — dokładnie — do 6,38%, albowiem na ogólną ilość 3,370 strejkow we Francyi w ciągu 7 lat (1893—98) tylko 778 razy odwoływano się do sądów polubownych, w tej liczbie tylko 33 razy przed zawieszeniem pracy, a tylko 222 razy wyrok takiego sądu był zakończeniem strejku. To też już w r. 1895 minister handlu A. Lebon, w 1896 — jego radykalny następca, Mesureur, dalej deputowani różnych stronnictw, od hr. de Mun, aż do Jauresa i Guesde'a wnosili dalej sięgające projekty. Myśl przewodnia obecnego projektu — uzależnienia strejku od większości — identyczną jest z wnioskiem Jauresa i Guesde'a z r. 1897. Wreszcie sam już Waldeck-Rousseau, będąc, jako prezes ministrów, w r. z. zaproszony na rozjemcę między strejkującymi robotnikami a przedsiębiorcami metalurgicznymi w Creuzot, ustanowił swym wyrokiem takich właśnie delegatów-pośredników warsztatowych.

Exposé przypomina też próby analogiczne, robione w innych krajach. W Anglii już prawo z d. 6 sierpnia 1872 określiło procedurę dobrowolnych sądów polubownych, które jednak pozostały tylko na papierze; prawo z d. 7 sierpnia 1896 roku włożyło na ministra handlu *obowiązek* ofiarowania swego pośrednictwa w wypadkach bezrobocia. Najmniej w tym kierunku posunęło się prawodawstwo niemieckie; prawo z d. 29 lipca 1890 r. wkłada rolę rozjemców na zwykłe sądy przemysłowe (kompetentne w zasadzie tylko co do przestrzegania umowy), ale tylko w razie żądania obu stron i przytem wyrok polubowny nie jest bynajmniej obowiązujący. Podobne jest prawo portugalskie z d. 14 sierpnia 1889 r. Belgia (16 sierpnia 1897) i Holandya (2 maja 1897) każą specyalnym „radom pracy“ prowadzić ankiety o każdym strejku i na żądanie stron pełnić rolę sądu polubownego. Kantony szwajcarskie: lucerneński (1892), berneński (1894), zurychski (1895), genewski (1897) przeznaczają do tego sądy przemysłowe mieszane; w tym ostatnim jednak kantonie od r. b. sąd polubowny jest obowiązkowym w wypadkach nieporozumień co do stosowania taryfy zarobkowej w niektórych fachach. Austrya zrobiła coś w tym kierunku jedynie dla kopalni; prawo z d. 14 sierpnia 1896 r. ustanawia wybieralnych delegatów-pośredników robotniczych, którzy na żądanie stron, wspólnie z delegatami właścicieli, mogą sądzić rozjemczo. W Kanadzie prawo o kopalniach z d. 15 kwietnia 1890 r. idzie dalej: na żądanie jednej strony komisarz rządowy wkracza w roli sędziego strejkowego i od tej chwili ani robotnicy nie mają prawa opuszczać kopalni, ani właściciele — wydalać robotników. W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, po bezowocnej ośmioletniej próbie sądów polubownych dobrowolnych na wzór angielskich, pierwszy stan nowojorski w r. 1896, a za nim 14 innych ustanowiły oficyalne i stałe trybunały rozjemcze, mianowane przez gubernatorów stanów; sądzą one na żądanie obu stron, a wyroki ich obowiązują w ciągu 6 miesięcy. W Australii wszystkie kolonie mają w tym kierunku śmiałe prawodawstwo: Nowa Walia południowa od r. 1892, Australia południowa od 1894 r., Wiktorya od 1896; najśmielszem jest jednak prawodawstwo Nowej Zelandyi, datujące się od r. 1894, poprawione w 1898 i na niem głównie wzoruje się projekt francuski. W Nowej Zelandyi każdy zatarg między kapitałem a pracą idzie natychmiast pod rozpatrzenie komisyi stałej, wybranej przez stowarzyszenie zawodowe jednej i drugiej strony; od jej wyroku służy apelacya do sądu centralnego, złożonego z trzech członków: prezesa trybunału najwyższego oraz dwóch asesorów, mianowanych przez gubernatora na przedstawienie stowarzyszeń przedsiębiorców i robotników. Sprawa oddana może być pod sąd tylko za uchwałą większości robotników; wyrok rozjemczy staje się obowiązującym na żądanie jednej ze stron (przewidziano w ten sposób nadzwyczaj zresztą rzadki wypadek, gdyby wyrok nie zadowolił żadnej strony). Za złamanie wyroku grożą każdej stronie surowe kary pieniężne; stowarzyszenia robotnicze są tam „zaregestrowane,“ dla zapewnienia odpowiedzialności majątkowej i osobistej, a w zamian za to — nietylko przez prawo uznane, ale cieszą się wielkiem poważaniem i wpływom. Dzięki tej organizacyi, dzięki tak surowej sankcyi karnej, Nowa Zelandya może się szczycić od pięciu lat mianem kraju bez strejków; w naszych jednak warunkach — mówią w motywach ministrowie-projektodawcy — sankcya taka zastosować by się jeszcze nie dała, powstałyby przeciw niej obie strony. Aby uniknąć zarzutów tej drugiej strony, której korzyść ma projekt przedewszystkiem na względzie, ministrowie przypominają w motywach, że już i same związki zawodowe starają się niekiedy ograniczyć ilość strejków źle przygotowanych i popierają tylko te, które wybuchły po wyczerpaniu środków pojednawczych i za zgodą większości robotników.

Myśl przewodnią swego projektu streszczają pp. Waldeck-Rousseau i Millerand w następujących słowach: „W niniejszym projekcie rząd rzeczypospolitej ma na celu wychowanie i organizacyę sił społecznych; daje wyraz zaufania swemu do robotników zorganizowanych, wierzy w wychowawczy wpływ stowarzyszenia; wskazuje, że podstawą postępu jest rozsądek; lojalne porozumienie między przeciwstawnymi interesami, stosowanie metody naukowej, stawianie kolejnych kroków po drodze przekształceń ekonomicznych, których końca nikt przewidzieć nie potrafi, ale którym każdy powinien torować drogę pokojową.“

Przytoczywszy powyżej ten czysto urzędowy a ważny dokument, wstrzymujemy się na tem miejscu od wszelkich o nim komentarzy; dodamy jedynie tę informacyę, że projekt odesłano do komisyi pracy i że uchwalenie jego przez Izbę deputowanych, a szczególnie przez senat, nie jest bynajmniej rzeczą pewną.

K. Radosławski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Wystawa kart i znakomitości.

Psychologia jest nauką okropnie trudną. Jak tu np. wytłomaczyć fakt, że nagle, na całym obszarze świata, gdzie tylko istnieją poczty, ludzie zaczęli posyłać sobie wzajemnie kartki, których jedna strona zawiera adres, a druga obrazek i przy nim parę słów lub nie? Nie są to bynajmniej dawne listy otwarte, gdyż miejsce, przeznaczone dla pisania, jest obecnie pokryte jakimś wizerunkiem, ale coś, co nie ma ani celu, ani pożytku, ani sensu. Jak rzęsiście spadają te płatki, dość powiedzieć, że poczta niemiecka ekspedyuje ich około 200,000 dziennie. Ponieważ zaś każdy koncept, który nabierze rozgłosu w Europie, znajduje u nas natychmiast wyznawców i naśladowców, więc fabrykujemy i rozsyłamy na wszystkie strony karty obrazkowe. Ile ich wylata codzień z polecenia mody, w braku wykazów powiedzieć nie umiemy. Dosyć, że i u nas trwa ta zadymka.

W takiej porze wyobraźnia filantropijna musiała począć i porodzić wystawę kart pocztowych. Urządzono ją w Ratuszu na cel dobroczynny. Ażeby zaś wzmocnić jej przynętę, która nie mogła być wielką, gdyż niepodobna było powołać do udziału wszystkie części świata, dołączono do niej wystawę autografów Olimpu miejscowego i garstkę zagranicznego. Dzięki manii zbierania, która już zdołała opanować grono osób, nieumiejących lepiej zużytkować swych sił, środków i czasu, przedstawiono kilka kolekcyj ilościowo bogatych; dzięki zaś ogromnej liczbie u nas ludzi znakomitych (zwłaszcza że komitet odsiał ich przetakiem o wielkich kratkach), wsypano do sali Ratuszowej kupę autografów. Gdy publiczność je obejrzała, urządzono licytacyę. Sądząc z osiągniętych za nie cen, wątpimy, ażeby niektóre z nich dosięgły swej wysokości drogą istotnego przetargu i przypuszczamy raczej, że żony, bracia, siostry, dzieci, krewni i przyjaciele auto-

rów, a może oni sami przez posłańców publicznych podbijali w górę swoje aforyzmy i podpisy. Bo jeżeli niedawno w paryżu za listy H. Taine'a płacono 11 fr., a Dumasa — 10, to nie może nam się w głowie pomieścić, ażeby w Warszawie znaleźli się amatorzy, którzyby za kilka wierszy, nakreślonych przez naszych Giboyerów, ofiarowali po kilka rubli.

Ale mniejsza o to. Podobno dobroczynność zyskała na tej zabawie w karty i znakomitości.

Wątpliwa rada.

Corocznie — według ks. W. P. w *Wieku* — wychodzi na zarobek od nas do Prus około 100,000 (?) ludzi. Przypuściwszy, że każdy, wracając, ma około 100 marek oszczędności, wypadłoby, że ogółem wszyscy przynoszą około 10 milionów (?) marek. Gdzież oni te pieniądze zmieniają? U wędrownych bankierów żydowskich, którzy dowiedziawszy się o powrocie tych odlotnych ptaków, obiegają wsie i dokonywają wymiany. Cenę marki ustanawiają dowolnie, a ponieważ wiążą się zmową, więc „obieżysas" u żadnego z nich nie dostanie wyższego kursu. Jeśli zaś zysk przytem wynosi tylko grosz na marce, to cała operacya daje owym bankierom 50,000 rb. Więc ks. W. P. zaleca, ażeby „tę sprawę ujęli w swoje ręce bankierzy chrześciańscy," którzyby w porze odpływu najmitów polskich z Prus (od połowy listopada do połowy grudnia) zakładali kantory wekslarskie na większych i mniejszych komorach pogranicznych. Podzielając najzupełniej współczucie autora dla biednego ludu, który z ciężkiego swego zarobku musi płacić wysoki haracz pasorzytom, nie spodziewamy się pożądanych skutków z jego rady. Chrześciaństwo nadziane gszeftem tyle jest warte, co i żydowstwo, a nie zauważono dotychczas, ażeby jakiekolwiek wyznanie powiększało lub zmniejszało apetyt bankierów na zyski. Grosz od marki przy wymianie weźmie zarówno nowozakonny, jak starozakonny, a na przesunięciu *prowizyi* z jednych rąk do drugich lud bynajmniej nie skorzysta. Trzeba więc go ratować innym, skuteczniejszym sposobem, niż ów podziurawiony milionami dowodów frazes o bezinteresowności przekupniów chrześciańskich. Ręczymy, że gdyby najkrzykliwsi z tych faryzeuszów, którzy w Warszawie każdy interes ubierają w sukienkę „chrześciańską," otworzyli swoje kantory wekslarskie na komorach pogranicznych, „obieżysasi" poczuliby wielką ulgę w swoich kieszeniach.

Tryumf rutyny.

Dużo mówiono w prasie rosyjskiej i polskiej o konieczności wprowadzenia zasadniczych zmian w rozpowszechnionym obecnie systemie nauczania szkolnego. Ministeryum oświaty rozsyłało nawet okólniki specyalne, doradzające nauczycielom pewną oszczędność w szafowaniu złymi stopniami i polecające możliwe ograniczenie pracy pozaszkolnej uczniów i uczenie oraz ułatwienie jej przez dobrze opracowane wykłady. Wszystko to brzmiało bardzo ładnie na papierze, znajdowało w kołach wychowawców naszych słowa pochwały i uznania, gdy jednak rozpoczął się rok szkolny, piękne zasady zostały nieobowiązującą nikogo teoryą, a w praktyce nauczania pozadomowego zatryumfowała na całej linii stara, zapleśniała rutyna.

Po dawnemu tedy widujemy kilkunastoletnie dzieci obu płci, spędzające długie godziny nocy na „kuciu" na pamięć niedostatecznie wyjaśnionych lub zadanych poprostu z lichego podręcznika, bez wyjaśnienia żadnego, reguł i wyjątków gramatycznych, twierdzeń matematycznych, dat, nazwisk, terminów z historyi, geografii lub nauk przyrodniczych. Po dawnemu cenzury, otrzymywane przy końcu kwartału przez młodzież, kształcącą się w średnich zakładach naukowych rządowych i prywatnych, przepełnione są „dwójkami" i nawet „jednościami," krzyczącemi rozdzierającym głosem, że, wobec wszechwładnego panowania skostniałej rutyny, bezskutecznymi pozostać muszą wysiłki młodocianych umysłów, dla których w takich warunkach krynica wiedzy zmienia się często w źródło zatrute, a napój, czerpany z niego, zamiast krzepić i wzmacniać, rujnuje młode organizmy fizycznie, napełnia dusze przedwczesnem zniechęceniem i goryczą...

Stąd i zowąd dochodzą nas wieści o próbach walki ze starym systemem, podejmowanych przez niektóre nowe szkoły prywatne, usiłujące zmniejszyć lub znieść zupełnie pracę pozaszkolną młodzieży, podnieść wartość wykładów, wprowadzić dłuższe przerwy między lekcyami itp., trudno jednak doprawdy oprzeć się sceptycyzmowi na widok tych pojedynczych wysiłków. *B.*

Uczczenie lekarza-obywatela.

W obecnej dobie pawich ogonów, wrzaskliwej reklamy i wyszrubowanych wielkości dziwnie krzepiącego uczucia doznajemy zawsze na widok cichej zasługi człowieka, umiejącego przy popychaniu taczki trudnych i mozolnych obowiązków zawodu przez piaszczystą pustynię życia, nie odwracać wzroku od przyświecającej, jak gwiazda przewodnia, idei poświęcenia i miłości. Uczczenie pracowników takich przez otaczający ich ogół, gdy zwłaszcza ogół ten składa się z mniej zdolnych zazwyczaj do występów zbiorowych mieszkańców prowincyonalnego miasta, staje się rzadkim w tych stosunkach aktem sprawiedliwości, uroczystością szlachetną i podniosłą.

Taką uroczystość święcili świeżo Radomianie, czcząc w osobie zdolnego i niezwykle zasłużonego dla ich miasta i okolicy chirurga filantropa, dr. Franciszka Kosickiego, dwadzieścia pięć lat ciężkiej a pożytecznej pracy i cichych zasług obywatelskich. Jeżeli wieńce gorącej czci i wdzięczności należą się zawsze takim niestrudzonym szermierzom światła i postępu, jakim dr. Kosicki pozostał przez cały ciąg swej ćwierćwiekowej pracy na skromnej arenie rodzinnego grodu, to niewątpliwie słowo uznania należy się również i miastu samemu, które zasługi „godnego syna swego" w tak piękny sposób uczcić umiało. Nic dziwnego, że opis tej podniosłej uroczystości w *Gazecie radomskiej*, która jubileuszowi dr. Kosickiego poświęciła numer nadzwyczajny, potrafił nas wzruszyć prawdziwie. *w. b.*

Z sali odczytów.

Ziemia karmicielka, historya powstawania jej warstwy rodzajnej, części składowe gleby i własności gruntu dały pole p. E. Jankowskiemu do wygłoszenia w Muzeum przem. i roln. treściwego odczytu z właściwą mu swadą i wprawą popularyzatora i pedagoga. Efektowne zwłaszcza było zakończenie prelekcyi o genezie miłości naszej dla tej ziemi-karmicielki, którą człowiek z rozkoszą polewa swą krwią i potem, podnosząc ją tem samem na wyższe szczeble ukochania. Żałować tylko trzeba, że p. Jankowski, dużo powiedziawszy o „ziemi," zamało powiedział o „karmicielce."

Trudno żądać od prelegenta, aby w przeciągu godziny wypowiedział wszystko, co na dany temat wypowiedzieć wogóle można. Szacunek dla uczynków dobrej woli każe milczeć krytyce. W każdym razie, pomimo to, niedobrze jest, gdy prelegent pomija milczeniem lub streszcza półgębkiem nieokreślenie to, co jego słuchaczom całość istoty danego zjawiska może uprzystępnić i szerszy dać pogląd na rzeczy i fakty już dawniej znane, ale z których sprawy sobie dokładnie nie zdawano. Szkoda, że dr. S. Kopczyński, mówiąc „O znużeniu," nie wyzyskał należycie całej skali przejść, jaka istnieje między zjawiskami znużenia życiowego a zmęczeniem przyrządów fizycznych (doświadczenia np. Webera z kością biodrową i ciśnieniem atmosferycznem, Thomsona z drutami telegraficznymi i tyle innych), że nie powiedział więcej o zatruciach organów wogóle — w każdym razie byłoby to bardziej w biologicznym stylu, niż taka jednostronność celu w demonstrowaniu ergografów i estezyometrów. Po za tem wszystko to, co mówił dr. K. o znużeniu, było bogate treścią i dobrze opowiedziane.

O „zdrowiu i chorobie" ściśle, treściwie, gładko mówił dr. Z. Kramsztyk, starannie unikając wszelkich niepewnych efektów i niedomówień. Prelegent, wychodząc z zasady, że zboczenie w całokształcie przyrody jest niemożliwe i że dopiero wtedy tylko możemy chorobę nazywać zboczeniem od prawidłowego stanu organizmu, kiedy, wyodrębniając pojedynczy organizm, uznamy go za samoistnie skończoną całość, porównał organizm ludzki do maszyny, systematycznie wykazując analogie i różnice pomiędzy różnemi ich zboczeniami. Samoleczenictwo i odporność organizmu, ból jako dobroczynny sygnał z miejsca zagrożonego chorobą, zadanie i ideały hygieny — oto wytyczne punkty pięknego odczytu.

Drugą część prelekcyj z biologii zakończył dr. Fabian odczytem o najważniejszych pytaniach, jakie sobie umysł ludzki w tej dziedzinie postawić może — mianowicie o życiu i śmierci. Dalekim był odczyt ten od popularności, gdyż prelegent nagromadził znaczną ilość materyału naukowego, przytoczył wszystkie teorye początku życia na ziemi, wytknął wszystkie najnowsze nawet prace w tym kierunku, dołączywszy do nich swoje własne ciekawe wnioski i przypuszczenia. Wobec tak akademickiego opracowania tematu zadanie sprawozdawcy jest zbyt trudne. Oczekiwać będziemy ukazania się tego odczytu w druku, aby o nim obszerniej pomówić. *K. Ch.*

Pracownia geologiczna.

Z uznaniem witamy stuk młotka geologicznego p. Lewińskiego, od niedawna rozlegający się w nowopowstałej pracowni ziemioznawczej Muzeum przemysłu i rolnictwa. Pracownia ta wypełnia dużą lukę w robocie społecznej i zapewnia utrwalenie się na pewnych podstawach całej syntezie prac około zbadania bogactw kopalnych naszego kraju, do których oddawna już zwracają się umysły praktyczne, mające na względzie tak podniesienie wartości majątków ziemskich, jak i stworzenie nowych gałęzi przemysłu. Oprócz zadań czysto naukowych, jak np. utworzenie mapy geologicznej kraju (a tak mało dotychczas w tym kierunku zaisto zrobiono), pracownia postawiła sobie i cele czysto praktyczne — ma ona dawać oceny praktycznej i przemysłowej wartości i wskazówki racyonalnego zużytkowania danego pokładu. Pracowni geologicznej życzymy, aby kiedyś „wymalowała" piękną i szczegółową mapę Królestwa Polskiego i żeby, zwróciwszy uwagę na wszystkie braki naszego mianownictwa geologicznego, wprowadziła doń tak piękne nazwy, jak wirchy, turnie, hale, głębocznice itd.

Trwały byt pracowni zdaje się być zapewnionym, gdyż będzie ona otrzymywała zapomogę roczną 2,000 rb. i pozostaje pod zarządem dobranego komitetu. *K. Ch.*

Kopalnie węgla i opinia publiczna.

Od organizacyi, przedstawiającej interesy naszego przemysłu górniczego, otrzymaliśmy drukowaną wzmiankę, dotyczącą

stosunków zarobkowych w kopalniach węgla. W sposób pośredni a zręczny usiłuje ona zdjąć odpowiedzialność z przedsiębiorstw kopalnianych za brak węgla, a przy sposobności wystawić w jaknajlepszem świetle stosunki, istniejące w górnictwie, w tak dobrem, iż w każdym nieuprzedzonym umyśle rodzi się podejrzenie, że „w królestwie duńskiem“ musiało coś zepsuć się, kiedy trzeba aż tyle bielidła.

Co do braku węgla, znalazł się wreszcie kozioł ofiarny! To nie hurtownicy, ani właściciele kopalń, ani wreszcie tabory kolejowe zawiniły, że ceny węgla poszły w górę, ale robotnicy, którzy nie chcą służyć w kopalniach pod ziemią, chociaż technika wentylacyi jest o tyle udoskonaloną, iż wszyscy zwiedzający dziwią się, że pod ziemią „może być tak dobre powietrze,“ chociaż „w głównych robotach wprowadzone jest oświetlenie elektryczne,“ a „robotnicy nie mogą narzekać“ ani „na mały zarobek,“ ani na przeciążenie pracą.

Posłuchajmy tych wywodów, zwalających winę za brak węgla na bojaźliwość pracowników:

„Za najważniejszą i, jak obecnie, może nawet *jedyną* przyczynę, tamującą należyty rozwój wytwórczości w kopalniach węgla zagłębia Dąbrowskiego, uważać należy brak rąk roboczych. Braku robotników kopalnie od kilku lat doznają, lecz nigdy dotychczas nie był tak dotkliwie, jak obecnie odczuwany. Z powodu braku robotników niezbędne do wyzysku węgla roboty nie mogą być należycie obsadzone, na czem wytwórczość węgla wielce cierpi; liczba przeciętna robotników w kopalniach węgla Królestwa Polskiego wynosi około 13,000, gdy tymczasem do pełnego biegu kopalni potrzeba 17,500, brak robotników wynosi przeto 4,500 czyli 35%.

Ciągle słyszeć się daje, że z powodu zastoju w przemyśle fabrycznym wielu robotników pozbawionych zostało w ostatnich czasach pracy, pomimo jednak, że zarządy kopalni rozsyłają wszędzie swoich agentów, w celu sprowadzania robotników i ponoszą na opłacenie tych agentów oraz na koszta przejazdu robotników znaczne wydatki, napływ robotników do kopalni jest bardzo niedostateczny. Z liczby sprowadzonych znacznym kosztem robotników niewielki procent pozostaje w kopalniach, reszta, po przybyciu na miejsce, albo wcale nie chce przyjąć roboty pod ziemią *wskutek bojaźliwości*, albo po odrobieniu kilku dniówek opuszcza robotę.“

Niewątpliwie, jest w tem wszystkiem nieco słuszności. Oderwać człowieka od przyrodzonych warunków życia wśród promieni słońca i swobodnego przewiewu powietrza niepodobna odrazu, ani nie można marzyć o stworzeniu za jednym zamachem wprawnego robotnika. Ale trudności to nie są tak znaczne, jak adwokat sprawy górniczej pragnie przedstawić. W odpowiedzi moglibyśmy przytoczyć fakty z rozwoju kopalni nadreńskich, w których dziesiątki tysięcy naszych rodaków pracuje, a które w ciągu paru lat ściągnęły większą liczbę naszych ziomków i oderwały ich od pracy na ziemi, niż wynosi zastęp robotników, pracujących w zagłębiu dąbrowskiem! Kapitaliści niemieccy umieli jakoś poradzić sobie z tym samym materyałem, z którym nasi nie mogą dojść do ładu, a poradzili za pomocą wyższej płacy i większego bezpieczeństwa. A jednak, jakkolwiek rzeczy tam lepiej stoją, nikt stosunków nadreńskich nie uważa za idealne. Widocznie skala sądu w Niemczech i u naszych potentatów kopalnianych jest bardzo odmienna — okoliczność, która naturalnie nie sprzyja wzrostowi zastępów, pracujących w kopalniach. Sam zarząd zjazdu górniczego przyznaje w rozesłanym przez siebie okólniku, iż „odstręcza robotników od przyjmowania roboty w kopalniach mniemanie rozpowszechnione, że praca ta jest wielce niebezpieczną“. Okólnik przyznaje, iż procent nieszczęśliwych wypadków w kopalniach jest większy, niż w innych gałęziach przemysłu, ale twierdzi „stanowczo“, iż 75% nieszczęść pochodzi „z własnej nieostrożności pracowników i nieprzestrzegania przez nich poleceń.“ Niestety, zanadto dobrze znamy tę wciąż odświeżaną gadkę! I znowu praktyka niemiecka zadaje kłam temu twierdzeniu. Zwrotkę tę o głupocie i nieostrożności pracujących powtarzano tam aż do znudzenia. Ale znalazła się na to rada. Rząd pruski w swych własnych kopalniach tytułem próby wprowadził nowy zwyczaj — wydawania znacznych gratyfikacyj tym dozorcom, w których oddziale liczba nieszczęść spadła albo zupełnie znikła z rubryki kopalnianej. I nieco wyłożonego grosza poskutkowało! Istnieją więc środki przeciw nieostrożności. Radzilibyśmy naszym kopalniom zaznajomić się z takimi sposobami zmniejszania nieostrożności.

Okólnik kopalniany nas nie przekonał, ale swoją drogą uważamy go za fakt pocieszający. Kopalnie przestały być zamkniętą w sobie warownią, opinia publiczna zaczyna do nich zaglądać, a możnowładcy węgla — liczyć się z jej nastrojem, i dlatego, ażeby wzmocnić ten ożywczy prąd opinii publicznej, zaopatrzyliśmy okólnik kopalniany tylu uwagami.

BADANIA NAUKOWE.

Z DZIEJÓW WARSZAWY.

W. Małcużyński. *Rozwój terytoryalny miasta Warszawy*, Warszawa, 1900, str. 184.

Na każdej stronicy książki p. W. Małcużyńskiego znać rękę, która z zamiłowaniem gromadziła i opracowywała materyały. Trzeba było przestudyować całe pliki papierów procesowych, oraz niewyczerpane dotychczas i zupełnie nietknięte materyały w aktach archiwum dawnego podskarbiostwa koronnego, ażeby z nich odtworzyć dzieje rozwoju terytoryalnego Warszawy, a więc wyznaczyć położenie dawnych łanów, włók, folwarków i dworków, wreszcie ulic, które na ich miejsce powstawały w miarę rozrostu miasta. Autor zamknął się w ciasnych szrankach, skrzętnie zbierając szczegóły, potrzebne do monografii, i prawdopodobnie przechodząc obojętnie obok innych, które może niejednokrotnie posiadały większą doniosłość teoretyczną. Nauka społeczna w ostatnich czasach dokonała znacznego postępu, specyalnie zaś w studyach nad historyą powstawania miast w okresie średniowiecznym wysunęła mnóstwo zagadnień, które pozostały po za sferą zapobiegliwości p. Małcużyńskiego. Nie czynimy mu z tego zarzutu, raczej winniśmy czuć wdzięczność, iż dał, co mógł, jednak z pewnym żalem zamknęliśmy książkę jego, nie znajdując tam wyzyskanego materyału, którego opracowanie przysporzyłoby niewiele roboty, a znakomicie podniosłoby wartość dzieła. Wypada nam tylko utyskiwać, iż wśród słów życzliwej zachęty, które go prowadziły w ciągu pracy wieloletniej, nie znalazło się miejsca na radę, ażeby zaznajomił się z pracami Maurera, Meitzena i innych, które zawarły w sobie całą obfitość wskazówek metodologicznych. Przy skrzętności i sumienności swojej p. Małcużyński wywiązałby się zadawalająco z szerszych zadań i zdołałby wskrzesić cały pokład społeczny ubiegłych stosunków własności i osiedlania się. Każde miasto średniowieczne w swoim rozwoju musiało zwolna otrząsać się z powijaków uprzedniej, wiejskiej formacyi stosunków, a papiery, które p. Małcużyński miał w swem ręku, niewątpliwie pozwoliłyby wyświetlić niejedną stronę ówczesnej struktury gospodarczej. Warszawa nawet jest u nas bodaj jedynem miastem, pozwalającem przeprowadzić podobnego rodzaju studya. Początki Krakowa toną we mgle dziejowej, dla braku dokumentów niepodobna dotrzeć do jego pierwocin: inne miasta posiadały zbyt małe rozmiary, ażeby można było tam oczekiwać obfitszej wiązanki szczegółów tego rodzaju. Jedna Warszawa może poszczycić się znacznymi rozmiarami, a nadto powstała w późnej względnie epoce i w archiwach mogły dochować się pewne szczegóły, a nawet dochowały się, jeśli nie myli nas wrażenie, jakie w umyśle naszym pozostało po przeczytaniu książki p. Małcużyńskiego.

Korzystając z jego pracy, pragnęlibyśmy przedstawić w krótkości zasadnicze wątki rozwoju terytoryalnego Warszawy. Nazwa Warszawy ukazuje się w dokumentach w. XIII, a przysługuje naówczas wiosce. Wioska ta w następnych wiekach wyrasta na miasto i pochłania wsie okoliczne, których nazwy zachowały się do dzisiaj w nazwach ulic i dzielnic (Powązki, Solec, Ujazdów). Może niektóre z nich posiadają odleglejszą przeszłość, niż ich ongi współzawodniczka, a następnie zaborczyni. Przynajmniej dla Ujazdowa możemy twierdzić to z całą stanowczością. Nazwę Ujazdowa spotykamy bowiem wcześniej, niż nazwę Warszawy, a stał tam zamek, widocznie wystawiony, jako strażnica nad rzeką, w czasach, kiedy kresy Mazowsza niewiele dalej sięgały, a puszcze bez końca pokrywały prawy brzeg Wisły. Wioska, obrana przez książąt mazowieckich za siedzibę, rozwija się kosztem wsi przyległych. Już w wieku piętnastym zagarnęła ona znaczną część sąsiedniej wioski Polkowa. Za Zygmunta III zaczął topnieć i zaludniać się folwark starostwa warszawskiego, za jego synów zaczęto zaliczać do miasta obszerne łany, leżące pomiędzy folwarkiem a Ujazdowem, w ostatnich latach Rzeczypospolitej włączono Pragę, a w początkach bieżącego stulecia znikła z oblicza ziemi wieś Ujazdowska. Ale pomimo zmian, jakie dotknęły okolicę pierwotnej wioski, noszącej nazwę Warszawy, szczątki terytoryalne dawnej ustawy rolnej dotrwały do dnia dzisiejszego.

„Gdybyśmy rzucili okiem na plan dzisiejszy naszego miasta — pisze p. Małcużyński — i przenieśli się myślą w daleką przeszłość z przed lat czterechset lub pięciuset, wtedy wszystkie na planie ulice, ciągnące się od Wisły ku Woli, zamieniłyby się na długie a wązkie włóki, zaorane starodawnym obyczajem w nieskończone, równoległe skiby i zagony. A ponieważ kierunek tych ról i zagonów, w każdej wsi, bywał zwyle dla wszystkich osad niezmienny, moglibyśmy się przekonać, że inny był nieco kierunek w dawnej wsi Warszawskiej, inny, pod kątem ostrym do poprzednich, w folwarku starościńskim i wsi Kałęczyńskiej (między Chłodną i Wilczą ulicą), a inny zgoła w Ujazdowie, w którym dziś, oprócz ulicy Pięknej, wszystkie ślady ról dawnych zaginęły pod nowemi alejami, parkami i polem wyścigowem. Ulice, dziś poprzeczne i ukośne, odpowiadałyby dawnym drogom przejezdnym, jak np. Nowy Świat — drodze z Ujazdowa do Warszawy; Bagno, Zgoda i Bracka — z Ujazdowa do starostwa; Twarda — ze starostwa do Rakowca, Falent i dalej; Wierzbowa, Bielańska, Nalewki i Dzika — z Ujazdowa i starostwa do Burakowa i Powązek, Wawrzyszewa, Młocin itd.“

Dawne więc drogi, prowadzące od wioski do wioski, stały się dzisiaj ulicami poprzecznemi, inne z pośród ulic dzisiejszych kierunkiem swoim odpowiadają kierunkowi skib, ciągnących się

w każdej z wiosek, pochłoniętych przez rozwój terytoryalny miasta. Nawet nazwy niektóre pozostały jako puścizna po starodawnych stosunkach własności. Włóki kałęczyńskie zwano Chmielnikiem i zdaje się nazwa ta dotrwała w ulicy Chmielnej, może pierwszej, która powstała na tem terytoryum, Wilcza wzięła nazwisko swoje od właścicieli łanu, ciągnącego się na jej miejscu, rodziny Wilków. Dzielna nazwą swoją zaznacza, iż ciągnie się wzdłuż działu zagonów staromiejskich od nowomiejskich, Elektoralna i Chłodna idą na miejscu dawnej miedzy, oddzielającej włóki staromiejskie od starościńskich. Wogóle, o ile można wnioskować, ulice tworzyły się wzdłuż miedz, które rozszerzały się i zamieniały na arterye ruchu. Rozwojowi temu stawały na przeszkodzie posiadłości wielkopańskie. Magnaci, w miarę tego, jak punkt ciężkości spraw publicznych przenosił się do Warszawy, nabywali kawałki gruntów i wznosili swoje dwory, nieraz leżące w poprzek do ukształtowania szachownicy pól. Dokoła dworu powstawało nowe ognisko życia z pańską jurydyką, biorącą nazwę swoją często od nazwiska założyciela. Leszno zostało założone przez Leszczyńskich, Aleksandrya bierze nazwisko swoje od imienia założyciela itd. Rozwój tych jurydyk najbardziej oddziałał w kierunku odchyleń od pierwotnej konfiguracyi dawnych łanów.

W teraźniejszości Warszawy ukrywa się więc daleka przeszłość: kierunki jej ulic, nazwy odtwarzają, pomimo wielu wieków, dawną formacyę stosunków produkcyi i własności. Tego rodzaju materyał posłużył właśnie wielkiemu „geologowi przeszłości społecznej," A. Meitzenowi, do wskrzeszenia, a raczej odtworzenia dawnej ustawy gospodarczo-prawnej wiosek niemieckich. Każdy drobiazg w tym rozbiorze — i jednocześnie syntezie społecznej — posiada doniosłość: jak Cuvièr na podstawie zęba zaginionych jestestw wskrzeszał ich kształty, tak samo ekonomista niemiecki z nazwy rozproszenia zagonów, kierunku i częstości dróg, odtwarzał szczegółowo daleką przeszłość. W ukształtowaniu zagonów wioski warszawskiej i jej sąsiadek uderza przedewszystkiem długość i wązkość zagonów. Niestety, nie znamy ich rozmieszczenia w pojedynczych polach, ale swoją drogą czujemy się uprawnionymi do wniosku, iż ustawa wioskowa opierała się na zupełnej indywidualizacyi gruntów uprawnych i nie znała podziału ziemi pomiędzy mieszkańców w prawidłowych odstępach czasu. Dalsze jej rysy możnaby wyprowadzić ze stosunku mieszkańców do wygonów i lasów, ale chociaż w książce p. Małcużyńskiego spotykamy wzmianki o pierwszych, przecież niema tam ani jednego wyrazu co do zasad, rządzących prawem jednostek względem paśników miejskich. *K.*

PRZYRODOZNAWSTWO.

Prof. dr. G. Tschermak: *Podręcznik mineralogii.* Dzieło zawierające 840 drzeworytów i III tablice kolorowane. Z piątego wydania niemieckiego przełożył, uzupełnił i przedmową historyczną opatrzył Józef Morozewicz. Wydanie Kasy dr. Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1900.

Z licznego dziś szeregu nauk przyrodniczych biologia pociąga ku sobie najliczniejsze rzesze adeptów i ciekawych. Nęci ona umysły doniosłemi zagadnieniami o istocie życia i śmierci, daje zajmujące obrazy powstawania, budowy i funkcyi istot ożywionych. Badaczowi dostarcza niezliczonych zagadnień i przedmiotów do studyów, uczącemu się—przedstawia się pełną głębi filozoficznej. Stąd też obfitą posiada literaturę specyalną, stąd też szerokiemi kołami rozchodzi się w życiu przez popularyzacyę.

Zupełnie inaczej traktowaną jest przez ogół nauka o ciałach nieożywionych. Istnieje powszechne o niej mniemanie, że jest to nauka bezbarwna i sucha, że jest to wiedza, która nie karmi umysłu, nie zapala serca. Przyczyna takiego mniemania tkwi poniekąd w trudnościach badania. Ciała nieożywione przemawiają do przyrodnika bardzo niechętnie, zmuszać je trzeba do tego metodami żmudnemi, manipulacyami zawiłemi. Dalej — wiedza, o której mówimy — tak od badacza, jak od uczącego się wymaga pewnego przygotowania (z zakresu fizyki, chemii, często — matematyki). Ten wzgląd odstręcza jednych i drugich. A jednak, gdy pokonamy trudności, znajdziemy w tej nauce doniosłe i zajmujące wiadomości o zasadniczych własnościach materyi, o jej przejawach różnorodnych; odsłoni się przed nami obraz życia tam, gdzie ogół upatruje martwotę, poznamy zjawiska, zachodzące w tem podłożu, na którem rozwija się życie, które jest środowiskiem niezbędnem dla istnienia istot ożywionych.

Stąd też doniosłem i uwagi godnem jest każde dzieło, które uprzystępnia i wprowadza w szerokie koła te mało, jak dotąd, znane wśród ogółu inteligentnego wiadomości. Do takich dzieł zaliczyć należy podręcznik mineralogii Tschermaka.

Powszechny typ podręcznika mineralogii — jest to bezbarwny i suchy opis postaci, własności, użyteczności i miejsca wydobywania ciał mineralnych; są więc to przeważnie książki, traktujące o okazach zbiorów i muzeów, lecz nie o ciałach przyrodzonych. A przecież minerały są związkami chemicznymi, z których zbudowana jest kula ziemska; związki te mają swą historyę, łączy je szereg przeobrażeń; każdy z nich rozmaicie powstaje, ulega wpływom środowiska, przeistacza się, rozkłada, daje początek innym; każdy zajmuje pewne stanowisko w budowie skorupy ziemskiej. I rzeczywiście mineralogia *jest* nauką nietylko o własnościach minerałów, ale i o ich roli w przyrodzie, o ich stosunkach wzajemnych, powstawaniu, przeistaczaniu się i rozkładzie. Tak rzeczywiście przedstawia się ona w rozprawach badaczów, lecz autorowie podręczników nie zdołali dotąd odtworzyć jej prawdziwego oblicza, nie dali poznać jej ducha. Uczynił to Tschermak, wprowadziwszy do podręcznika mineralogii naukę o powstawaniu i przeobrażaniu się minerałów oraz o ich roli w przyrodzie. Uczony ten od czterdziestu lat nietylko naucza mineralogii, ale ciągle posuwa ją naprzód swemi badaniami; łączy więc erudycyę i głębokie zrozumienie przedmiotu z jasnością i ścisłością sądu, oraz z przystępnym i jasnym wykładem. Piąte wydanie książki Tschermaka wyszło teraz w polskiem opracowaniu p. Józefa Morozewicza. Rozmyślnie używam tu wyrazu „opracowanie," nie jest to bowiem niewolnicze tłomaczenie: p. Morozewicz uzupełnił swój przekład wieloma dopełnieniami, które właśnie zamierzam tu wykazać w zarysie ogólnym.

W szeregu minerałów najwybitniejsze miejsce zajmują tak zwane krzemiany. Pod względem składu jakościowego są one związkami kwasu krzemnego z niezbyt licznymi tlenkami metalicznymi; jest ich jednak ilość znaczna, i rozmaitość pomiędzy niemi panuje nadzwyczajna. Budowa ich chemiczna i zachowanie się jest zawiłe i często niejasne; jak węgiel w ciałach organicznych, tak krzem w krzemianach posiada zdolność tworzenia bardzo licznych i skombinowanych połączeń. Znajomość przeto budowy i przeobrażeń krzemianów jest w chemii nieorganicznej sprawą wielkiej wagi teoretycznej. Nadto, krzemiany stanowią skały w kuli ziemskiej najważniejsze; z nich właśnie, rzec można, planeta nasza jest zbudowana; one są ciałem ziemi, inne zaś tylko jakby jej ozdobą. Wreszcie, wszystkie fakty przemawiają za tem, że kula ziemska była kiedyś masą ognistopłynną, gdy zaś stygła — krzemiany, jako ciała powstające i mogące istnieć w temperaturach bardzo wysokich, tworzyły jej skorupę. One zatem są pramineralami; wszystkie inne z nich powstały drogą procesów wtórnych, wskutek działania chemicznego wód, i związków w wodach rozpuszczonych, lub pod wpływem atmosfery. Badanie zatem przeistoczeń, jakim krzemiany podlegać są zdolne, jest, jak widzimy, sprawą pierwszorzędną zarówno w chemii, jak w mineralogii i geologii. Lecz jest ono bardzo utrudnione. Obserwacya zjawisk przyrodzonych stanowi tu tylko połowę pracy; do całości obrazu konieczne są badania doświadczalne. Badania nad powstawaniem krzemianów na drodze ogniowej oddawna licznych mają przedstawicieli (wśród nich poczesne miejsce zajmuje Morozewicz), lecz droga wodna, żmudniejsza, wykazująca przeobrażenia tych ciał, należy niepodzielnie do prof. Jana Lemberga i dr. Stanisława Thugutta. Badania Lemberga, prowadzone w ciągu wielu lat pracowitego żywota i opracowane z wielkim trudem, tworzą całą literaturę. Umieściwszy najdelikatniejszy proszek krzemianu w naczyniu platynowem, nalewa nań roztworu tej lub innej soli, zamyka hermetycznie i poddaje w ciągu bardzo długiego czasu wysokiej temperaturze. Łącząc zatem ciepło i ciśnienie, w krotszym czasie osiąga to, co przyroda robi w ciągu tysiącoleci w zwykłem ciśnieniu i w zwykłej temperaturze.

Lemberg bada przeważnie przeistoczenia uporczywych i stałych związków; uczeń jego — Thugutt — wyjaśnia ich budowę chemiczną, wyodrębniając oddzielne grupy atomowe, czyli rodniki: przeto zbliża chemię krzemianów do tych wyżyn, na jakich znajduje się chemia organiczna.

Już z tych kilku słów pobieżnych można chyba zrozumieć, jak doniosłemi są badania Lemberga i Thugutta. Niestety jednak, nie cieszą się uznaniem w świecie mineralogów. Skromność, powściągliwość i wielka zwięzłość, z jaką Lemberg i Thugutt przedstawiają z wielkim trudem przez siebie zdobyte fakty, ledwie zaznaczając ich wyniki, nie może dać im popularności. Ich rozprawy, pełne myśli głębokich i donosłych, nie są błyskotliwe i efektowne, a do zrozumienia wymagają gruntownego i szerokiego wykształcenia chemicznego. Stąd cicho o nich w podręcznikach. Sam Tschermak w kilku zaledwie miejscach wspomina o nich, on bowiem skłania się raczej ku przedstawieniu zjawisk obserwowanych w przyrodzie, niż badanych w pracowni. Prócz tego badania Lemberga i Thugutta dowiodły bezzasadności wielu twierdzeń, ogłaszanych przez uznane powagi, a ludzie są ludźmi na wszystkich stanowiskach, więc przemilczają imiona tych dwu uczonych.

Najważniejszą zasługą Morozewicza, która książkę jego czyni jedyną w całej wszechświatowej literaturze mineralogicznej podręcznikowej, jest podniesienie zasług Lemberga i Thugutta oraz wprowadzenie do podręcznika wszystkich faktów przez nich zdobytych i wyjaśnienie ich doniosłości. Jest to jej pierwszą zaletą natury ogólno-naukowej. Drugą—wprowadzenie minerałów, znajdujących się na ziemiach polskich i przyległych. Wszystkie wiadomości o minerałach w Polsce, rozrzucone dotąd w literaturze geologicznej, Morozewicz zebrał, usystematyzował, krytycznie opracował i właściwie umieścił. A nie są to tylko suche wyliczenia nazw geograficznych, gdzie ten lub ów minerał się znajduje, lecz jednocześnie jest to wyjaśnienie stanowiska, jakie minerał ten zajmuje wobec skał otaczających. Np. na str. 439. w artykule „Limonit," czytamy jak ta ruda żelazna w za-

głębin śląsko-polskiem skupia się w wapieniu muszlowym, jak leży powyżej kruszców cynkowych i ołowianych, a znów na wyżynie środkowo-polskiej jak jedne złoża limonitu osadzone są w piaskowcu pstrym (Suchedniów), drugie w glinach (Starachowice, Bzin), trzecie w piaskowcu brunatnym (jurskim — Małyszyn, Zdziechów). Ta strona czyni książkę Morozewicza bardzo cenną dla ziemianina, przemysłowca i nauczyciela polskiego.

Wreszcie Morozewicz zebrał terminologię mineralogiczną polską, od wieku szesnastego i napisał bardzo ciekawy wstęp oraz przegląd podręczników mineralogicznych polskich. Wstęp ten jest bardzo cennym przyczynkiem do historyi oświaty u nas i napewno znajdzie licznych czytelników.

Te są główne zalety podręcznika Morozewicza. O innych dopełnieniach mówić tu nie mogę, ze względu na ogólny charakter czasopisma, zaznaczyć tylko muszę, że są liczne i bardzo podnoszą wartość książki.

Nawiasem dodam, że od roku 1868, w którym wyszedł podręcznik mineralogii Altha, nie było dzieła, któreby informowało czytelnika polskiego o postępach i stanie wiedzy mineralogicznej.

Z. Weyberg.

LITERATURA I SZTUKA.

Henryk Sienkiewicz.

(SZKIC JUBILEUSZOWY).

II.

Są inne pierwiastki, wyższe i szlachetniejsze, a mniej zależne od woli autora, żywiołowo tkwiące w usposobieniu twórczem i nieświadomie oddziaływające na wyobraźnię czytelnika. Gdy mowa o autorze *Quo vadis,* nikt się nie zawaha z wymienieniem tych pierwiastków, dzięki którym pojedynczymi obrazami jego możemy zachwycać się i upajać. Jest to nieporównana wprost wywypukłość kształtów, wielka harmonia i malowniczość scen, które rozwijają się przed nami często nie tyle w opisie, ile w nastroju, narzucającym się z nieprzezwyciężoną siłą. Że ten Podbipięta i Kmicic są wielkoludami, że ich postacie i czyny, i przeróżne widoki żywego lub martwego otoczenia układają się w dziwnie fantastyczną mozaikę — to może dobrze, to może źle, ale to nie wszystko jeszcze. Bo tych ludzi i te rzeczy widzi się, i słyszy, i wyczuwa. Wszystko to spływa w samoistny świat, który wstaje z kart książki i otacza nas wkoło. Oto kolory układają się w całe symfonie, o uszy nasze uderzają raz po raz fale dźwięków. Tym urokiem obrazy Sienkiewicza żyją naprawdę, i tą stroną swego talentu jest on już bez żadnych zastrzeżeń wielkim artystą. Opisawszy igrzyska cyrkowe w Hiszpanii (*Walka byków*), a opisawszy tak, że czytelnik doświadcza niemal złudzenia, iż sam jest obecny turniejowi, autor przychodzi wreszcie do takiego wniosku: „Gdyby mnie spytano, czy to jest piękne widowisko, odpowiedziałbym: tak. Piękną zwłaszcza jest jego *oprawa*: to słońce, te cienie tysiąca wachlarzy, na widok których zdaje ci się, że rój motylów obsiadł cyrkowe rzędy — to oczy, te purpurowe, wilgotne usta. Piękną jest ta nieprzebrana ilość tonów ciepłych a mocnych, ta masa barw, złota, haftów, ten rozpalony piasek, od którego tchnie żar — wreszcie te dowody zuchwałej odwagi i ta *groza*, która nad igrzyskiem się zwiesza.“ Ku takim wrażeniom, ku takiej grze kolorów pociąga artystę jego temperament, i takie też obrazy jego wyobraźnia ujmuje i stwarza. I czy pójdzie ona lub nie na służbę jakiejś tendencyi, niezależnie od tego, czy widoki podobne rozwijają się w różnowzorową tkaninę romansu przygód, czy też służą za stopnie do celu odleglejszego — bądź co bądź, obrazy te będą często wspaniałymi, a pięknymi — prawie zawsze.

W przytoczonych słowach podkreśliliśmy nietylko *oprawę* widoku, lecz i tę *grozę*, która nad igrzyskiem się zwiesza. O tym psychicznym czynniku chciałbym dorzucić słów kilka. Scenie barwnej i wypukłe rzeźbionej przyglądać się będziemy spokojnie, jak pięknemu malowidłu; lecz taż scena powlecze się gorącym kolorytem, jeśli wśród niej odbędzie się ruch, jeśli nad nią zawiśnie groza.. Obrazy Sienkiewicza odznaczają się często bardzo natężonym dramatyzmem sytuacyjnym. Mówimy sytuacyjnym, gdyż tragiczne napięcie wykwita tu zwykle nie z konieczności, nie z przyczyn głębszych, nie ze starcia dwu potęg moralnych, lecz z położenia, ze zbiegu dowolnych często, przypadkowych zdarzeń. Spotykamy u autora często efekty silne a zgoła niezależne od niepokoju wyczekiwania. Są to niekiedy rzeczy zanadto szarpiące nerwy, jak nawlekanie Azyi na pal. Ale uprzytomnijmy sobie np. scenę z pogrzebu Wołodyjowskiego. Z kazalnicy rozlega się raz po raz warczenie bębna—to pobudka dla żołnierza: ojczyzna w potrzebie. I gdy się przytomni dziwią księdzu, ten odrzuca pałeczki i wzywa leżącego na marach: mości pułkowniku Wołodyjowski! Spazmatycznemu krzykowi Basi wtóruje dreszcz, który nami wstrząsa od stóp do głowy. Efekt może trochę za gruby, lecz, w pierwszej przynajmniej chwili, oprzeć się mu niepodobna. Przypominają się nam zresztą sceny jedna od drugiej wytworniejsze, a niemniej wzruszające. Za przykład podam po mistrzowsku wykończone przekradanie się Skrzetuskiego ze Zbaraża, ogłoszenie przez Radziwiłła unii ze Szwedami w Kiejdanach, śmierć Petroniusza, sceny w cyrku itp.— Gdzieś powyżej rzuciliśmy uwagę, iż u Sienkiewicza opisy często przeistaczają się w nastroje. Mimowolne może nakreślenie obrazu, nie wprost, lecz przez wrażenie, nie jest u niego rzeczą rzadką. Pamięć nasuwa nam tu scenę z *Quo vadis.* Ta okoliczność, że nadludzką siłą obdarzony Ursus skręca kark turowi, najmniej nas wzrusza, wbrew może zamiarowi autora. Wyznajemy w pokorze ducha, że o los Ligii drżymy nie bardzo. Ale jest tam inny pierwiastek... Wyczuwamy nerwowy niepokój, który ogarnął tłumami widzów i stajemy się sami cząstką tego tłumu, podniecają nas przyspieszone jego oddechy, krwistym rumieńcem na twarz nam biją wszystkie te gorączką rozpalone twarze... A jaka szalona plastyka tego nastroju! Jaka cisza! „W cyrku słychać było tylko syczenie płomieni w lampach i szelest węgielków, opadających z pochodni.“ W porównaniu nie może iść nawet szmer spadających nieustannie z pułapu róż na uczcie Nerona, gdy biesiadnicy uciszyli się, by wysłuchać śpiewu ukoronowanego artysty, nie była to bowiem chwila tragiczna.

Obok tej wypukłości scen pojedyńczych, obok plastyki gestu, owianego często gorącym tchem, obok napięcia dramatycznego w dziedzinie uczuć pierwotnych, lecz gwałtownych, słusznie jest wspomnieć o rysunku postaci i charakterów tak wydatnym, że, zda się, nieraz rozpoznajemy pod skórą siatkę żył. Gdyby Sienkiewicz nie napisał noweli *Na jasnym brzegu*, słusznie moglibyśmy uważać *Rodzinę Połanieckich* za najniesympatyczniejsze jego dzieło dzięki rozpaczliwej jakiejś niziinności lotu. Nie darmo przecież prof. Tarnowski *Rodzinę* kładzie bodaj czy nie na szczycie twórczości naszej, ba, wszechświatowej pono. A jednak ile tam osób z wyrazistymi rysami oblicza, które wejść muszą do słynnej Sienkiewiczowskiej galeryi! Ciocia Broniczowa, papa Pławicki... toż stary Fredro zawrotu głowy chybaby dostał z uciechy, że mu takie typy do rąk wpadły...

Portrety Sienkiewicza są zazwyczaj przepyszne, tylko oświetlenie ich często wadliwe. Nie jest też wszechstronnym zakres, w którym autor z dostateczną swobodą się porusza. Jego dodatnie np. postacie kobiece, z wyjątkiem jednej może Oleńki (nie uwzględniam tu także *Krzyżaków*), poczynając od Lilien w *Przez stepy* aż do Anielki Kromickiej, aż do Maryni Połanieckiej — wszystkie należą do jednego typu, różniąc się indywidualnie nie zasadniczemi zmianami charakterów, lecz postawą, losem, zewnętrznemi dekoracyami i tym lub owym rysem podrzędnym. Są to zazwyczaj „prawdziwe kobiety“ o naturze bluszczowej, jest to raj, „przeznaczony do kochania,“ słodkie, kochające, uległe, wstydliwie oddające się mężczyźnie i „ogromnie pewne,“ bo wpatrzone w niego i w nim swą osobowość roztapiające. Zresztą, ich osobowość — to tylko ten lub ów stosunek do pana stworzenia; w stosunku tym także początek swój bierze ów „dogmat“ kobiecy, o który rozbijają się żądze męzkie. Postacie męzkie odznaczają się wyższem napięciem energii, i rozmaitość tu większa, niż wśród świata niewieściego. Nie będziemy autorowi wytaczać procesu o to, że Chylon przypomina Zagłobę, a Petroniusz — Płoszowskiego itp. Ale całą tę rzeszę osób, zaludniających utwory Sienkiewicza, odznacza pewien wspólny rys — wszystkie one trzymają się blizko przeciętnego poziomu życia, wznosząc się na wyżyny rzadko i niezręcznie, odcinając się od pośledniejszej ciżby tylko swem wielkoludztwem. Najarystokratyczniejsze w tej galeryi duchy, to Płoszowski i Petroniusz, wytworni dyletanci i powierzchowni sceptycy, powierzchowni dlatego, że nie czują w sobie ognia wielkich ukochań i głębokich cierpień. Co do Skrzetuskich i Kmiciców, są to zapewne ideały, ale ideały „gospodarskie,“ że użyjemy stylu hr. Tarnowskiego. Wszyscy oni są niejako uosobieniem prawdy i życia, ale *„prawdy przeciętnej* i życia zwyczajnego,“ jak o nich mówi jeden z najgłębszych naszych estetyków.

Wszystkie wymienione po kolei pierwiastki utworów Sienkiewicza: wypukłość figur i scen, dramatyczność położeń, gorącymi tonami nasycone dekoracye i tło, niezwykła pomysłowość w stwarzaniu i wiązaniu sytuacyj, a obok tego brak pogłębienia uczuciowego i myślowego w charakterach i ogólnej perspektywie i pewna ociężałość polotu — wszystko to można sprowadzić do wspólnego mianownika, który najtrafniej może i najtreściwiej sformułował wspomniany już przed chwilą autor „Swoich i obcych.“ „Siłę, powiada on, a nawet całą istotę talentu autora *Ogniem i mieczem* stanowi fenomenalna zdolność odtwarzania za pomocą prostych niezwykle środków *„plastycznej, malowniczej strony* życia i świata,“ a więc *zewnętrznej* przedewszystkiem. I o ile wychodzi z tej przyrodzonej sobie dziedziny, o tyle przestaje być twórcą...

Czy z tem twierdzeniem w sprzeczności stanie ta okoliczność, że autor *Bez dogmatu* dał pierwsze bodaj u nas wzory powieści analitycznej, tak rozwielmożnionej dziś na Zachodzie, i pociągnął za sobą zastęp naśladowców? Bynajmniej. Ktoby chciał, nie posiadając sienkiewiczowskich zasobów, współzawodniczyć ze znakomitym powieściopisarzem, kładąc swe dzieła obok takich malowideł, jak *Ogniem i mieczem, Quo vadis,* a choćby tylko *Potop*, mogłoby mu się przytrafić, że napisałby... jakby się tu grzecznie wyrazić — tichotę, jakich

mnóstwo zamieszczają w ostatnich latach dzienniki nasze. Ale napisać powieść analityczną, tj. owinąć każde kichnięcie i stęknięcie bohatera czy bohaterki dziesiątkiem mądrych uwag, to niezbyt trudno. Nie moglibyśmy zachwycać się postaciami, stwarzanemi przez Sienkiewicza, gdyby w nich nie zespalała się prawda ruchu z prawdą psychologiczną. Tylko słusznie o nim zauważono, że giętkim swym, lecz niezbyt długim skalpelem, rozcina tylko powierzchowne pokłady duszy. Obraca się on z największą swobodą w jednej dziedzinie — uczucia erotycznego. Dlatego np. Płoszowski, wzniesiony pierwotnie na wyżyny męczennika samowiedzy, bardzo prędko staje się tylko męczennikiem fałszywego położenia, które skądinąd sobie tylko przypisać powinien; prawda, iż wtedy, jako drugi Werter, jest on w swym rodzaju niezrównany. Niegdyś Litwos w swych *Mieszaninach literacko-artystycznych* zarzucał wszystkim piórom kobiecym, poczynając od G. Sanda aż do E. Orzeszkowej i Marrenowej, że w ich przedstawieniu stosunek uczuciowy dwojga płci wygląda mdło i sztucznie. Miał prawo czynić ten zarzut, bo był już wówczas autorem *Hani*. I czy to będzie pierwszy nieśmiały rozkwit miłosnego pociągu, czy rozwijanie się skrętów tego płaza, co w sercu naszem pod mianem zazdrości ma swe siedlisko, czy gwałtowny wybuch żądzy — wszystko to jest dla Sieńkiewicza przyrodzonym jego żywiołem: i zawsze niemal potrafi nas poruszyć, wstrząsnąć nawet niekiedy prawdą przedstawianych stanów duszy, przedstawianych „z temperamentem,“ ze znacznem zacięciem zmysłowem. I pod tym względem, jak pod innymi, autor posiada śmiały pendzel, a celuje zwłaszcza w rysach drobnych, w uwagach niby bezwiednie, dorywczo rzuconych.

Po za temi czatami, rozbiór psychologiczny u autora *Bez dogmatu*, przeciążony komentarzami, zastosowanymi do rzeczy widocznych lub błahych, odbywa wciąż ruchy wahadłowe, nie przyczyniając się zgoła, lub w miernym tylko stopniu, do rozświetlenia sytuacyi lub głębin duszy. Analiza Sienkiewicza „nie ma skromności,“ jak dowcipnie zauważył Lemaître o Bourgecie. Możnaby to policzyć do wad technicznych tylko i mniejszej wagi, lecz kojarzą się one z innemi ujemnemi właściwościami, o które przygodnie potrąciliśmy, a które posiadają ogólniejsze znaczenie. Cofnijmy się myślą do epoki *Szkiców węglem* i *Janka muzykanta*, do epoki dawno już przez autora zapomnianej — wojowniczego demokratyzmu. O demokratyzmie owym świadczy głośno tendencya dzieł, świadczą gęsto tu i owdzie rozsypane ostre wycieczki przeciw wyższym warstwom towarzyskim i przeciw sferom zachowawczym. Anglia wprawia go w głębokie zdumienie, jako kraj niespodzianek, wśród których nie najmniejsza i ta, że w niej „arystokracya ma rozum.“ Gdzieindziej skarży się na kołysanie okrętu, które sprawiło „zawrót głowy i zgłupienie posunięte do tego stopnia, że gdyby to był stan normalny mego umysłu, mógłbym odznaczyć się nawet w kółkach ultra-konserwatywnych.“ Jednak tu barwa postępowa, szczera niewątpliwie, jest przecież czemś z zewnątrz przyjętem. On prawdziwie oburza się na tych, co Bartka-zwycięzcę wygnali z ojcowizny, głęboko współczuje biednej Rzepowej; niemniej stosunek jego do młodszej braci jest arystokratyczno-wyniosły. Litując się nad ciżmami, nie schodzi na nie, nie wczuwa się w ich czuciowo - umysłową atmosferę, i dlatego nie umie dojrzeć duszy w cierpiącem ciele. Opisuje on gminę „Barania głowa“ i naprawdę w niej innych głów nad baranie niema, niema również czujących serc. Tendencyjność *Szkiców* wkrótce ustąpiła miejsca tendencyjności *Ogniem i mieczem*. I tu znowu znajdujemy, na większą jeno skalę, potwierdzenie tej prawdy, że obrazy Sienkiewicza są ułomne, bo jednostronne i nie dość głębokie. W dziele otwierającem *Trylogię* i w niej najświetniejszem, autor nie wzniósł się na szlachetne wyżyny równowagi i sprawiedliwości dziejowej. Wojna społeczna jest dla niego rozbojem, hasła religijne — pozorem tylko. Po stronie kozackiej poszukuje prywaty, a choć znajdą się i takie ustępy, jak ów wykrzyknik Skrzetuskiego: „Jać złych nie bronię, krzywd nie pochwalam, ucisków prawem nie mianuję“— to przecież ogólny koloryt wytwarzają migające nam wciąż „*niesforne* żywioły, skłonne do *grabieży*.“ Ukraina, żądna *dzikiej* swobody, niezdolna do wdrożenia się w tryb życia rolniczego i osiadłego, zerwała się przeciw sile, która do tego życia skłonić ją usiłowała i „pragnęła zachować to, co było *owocem wiekowej pracy*.“ Dzicz stanęła przeciw cywilizacyi. Mężem opatrznościowym w tej zawierusze został, według autora, Jeremi Wiśniowiecki, przedstawiciel tych paniąt ukrainnych, których polityka doprowadziła właśnie do fatalnej w swych najdalszych skutkach burzy; bohaterem był ten, który zachowaniem się uniemożliwił wszelkie układy w chwili najodpowiedniejszej, a „okrucieństwem swem nie uciskał, jak chce autor, lecz przeciwnie— rozpalał bunt chłopski, którego fale coraz szerszą pożogą obejmowały województwa kresowe; ten, o którym historyk tych czasów powiada, iż nie posiadał w sobie iskry twórczości. Ostatecznie, zamknęlibyśmy na to wszystko oczy, utrzymalibyśmy na wodzy swe uczucie; gotowiśmy uwierzyć w wielkość Jeremiego, jeśli nie historycznego, to powieściowego — ale nie na słowo autora. Niech on naprawdę wielkim się *okaże*. Otóż większymi od wodza są jego podkomendni, bo we właściwym sobie zakresie dokonywają wielu czynów nadzwyczajnych, a nawet niekiedy prawdziwie pięknych i bohaterskich, jak Skrzetuski. A on, hetman i mąż stanu, czy jest przedstawicielem jakiejś myśli podniosłej i wielkiej? Chyba tylko krwawego odwetu nad *czernią* chłopską i kozacką. I dlatego zadrżymy tu i owdzie o los Heleny, z rozkoszą przyglądać się będziemy świetnie odtworzonym czy stworzonym walkom bądź pojedynczych rycerzy, bądź całych wojsk, ale względem Jeremiego zachowamy się nieufnie. Jakiejżeby wreszcie myśli uosobieniem mógł być Jeremi, jeśli jej niema w całem dziele? Ani w tem dziele Sienkiewicza, ani w jakiembądź innem, nie znajdziemy ustosunkowania różnych warstw i dążności narodowych i społecznych, nie otworzy się przed nami daleka perspektywa dziejowa, lecz porwie nas gorączkowy ruch zdarzeń, najczęściej drobnych, czasem wielkich, ale wielkością zwykle zewnętrzną. Że w tym wirze jest tendencya „pokrzepienia serc“ obrazem — jak to ongi bywało — o tem wiemy wszyscy; że tą swoją stroną *Trylogia* oddziaływa w stopniu znacznym — to też dla nikogo nowością nie będzie.

(D. n.).

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

—+—

Jubileusz *Halki*.

Niedzielę ubiegłą, 9 grudnia, teatr Wielki dwoma wspaniałemi przedstawieniami, z udziałem najwybitniejszych naszych sił śpiewaczych, uczcił jedyną u nas, a rzadką wogóle w dziejach teatru i muzyki uroczystość pięćsetnego odśpiewania na scenie warszawskiej najcenniejszej perły w twórczości Stanisława Moniuszki, najpiękniejszej opery polskiej, popularnej, ukochanej przez ogół „Halki.“ „Pięćset przedstawień, po tysiąc osób bez mała na każdem przedstawieniu — jak się z tego powodu wyraził ładnie jeden z krytyków muzycznych — to pół miliona słuchaczów, pół miliona serc, drgających w rytm pieśni wspólnej, pół miliona dusz, przenikniętych naraz jakiemś uczuciem braterskiem, pragnących kochać się wzajem i rozumieć.“ A jeżeli przypomnimy sobie, że jubileusz ten święci „Halka“ stosunkowo wcześnie, gdyż w teatrze Wielkim wystawiona została po raz pierwszy na samym początku r. 1858, to tem większe zdumienie ogarnąć nas musi na widok tego niebywałego a niesłabnącego bynajmniej powodzenia utworu, który, choć wzruszający i piękny, nie rości sobie przecież pretensyi do stanowiska arcydzieła *muzycznego* w ogólnoludzkiem tego słowa znaczeniu.

Tajemnicę powodzenia dzieł Moniuszki wogóle, „Halki“ w szczególności, nietrudno jednak odgadnąć. Dusza ulubionego pieśniarza była czułem, rozśpiewanem narzędziem muzycznem. Z ogromną prawdą, w melodyach prostych, zrozumiałych, odtwarzała ona przedewszystkiem nie te subtelne, nieuchwytne stany wewnętrzne, właściwe nielicznym jednostkom wybranym, lecz ogólne, silne, potężne, żywiołowe niemal porywy i uniesienia natury przedewszystkiem polskiej, które każdy z nas niemal, od mieszkańców pałacu do chat ubogich, zarówno we własnej duszy, jak i w utworach ulubionego kompozytora, potrafi odnaleźć, zrozumieć i odczuć.

To jedno, najogólniejsze, dające się zastosować do całej twórczości Moniuszki, jako pieśniarza nawskroś rodzimego i narodowego. W zastosowaniu do „Halki“ znajdziemy jednak coś więcej. „Halka“ — to nietylko melodyjne i ładne dzieło muzyczne, jak „Straszny Dwór,“ „Verbum Nobile“ lub „Hrabina,“ odtwarzające z niepospolitym talentem pewne środowisko lub nastrój. To prawdziwy i podobno jedyny u nas dramat muzyczny, dramat silny, bolesny, osnuty na tle niesprawiedliwości i krzywdy społecznej, przeniknięty głębokiem współczuciem poety-muzyka dla wszelkiej niedoli i krzywdy, wszelkiego bólu.

Nie myślał zapewne Moniuszko, i myśleć w owym czasie nie mógł, o tworzeniu symbolów. A jednak ta jego skrzywdzona i sponiewierana przez panicza dziewczyna wiejska, dochodząca od rzewnej skargi i tęsknej pieśni aktu pierwszego do wstrząsających wybuchów i gróźb w scenach ostatnich — „a łzy te moje, te krwawe łzy, ja zemszczę się, podpalę cię!“ —i znajdująca wreszcie mimo wszystko przebaczenie dla niewiernego kochanka — na dnie czułego serca, a ukojenie bólu — na dnie jeziora czy rzeki, jakiż to piękny w gruncie rzeczy, jaki wiecznotrwały symbol!

Równie piękne lub piękniejsze jeszcze, niż w „Halce,“ melodye znajdziemy w innych dziełach Moniuszki, znajdziemy może i u niektórych innych kompozytorów naszych. Ale ta właśnie społeczna strona utworu, te łkania ludu, które w nim płaczą i grożą, nadają tragicznej historyi Halki i Janusza wyjątkowe znaczenie w twórczości Moniuszki i czynią nam ten jego utwór szczególnie cennym i drogim. To też przez tę stronę swoją, która tworzy zeń nietylko piękny poemat szlachecko-ludowy, ale dramat krzywd i cierpień całej warstwy społecznej, ulubiony dzisiaj od ogółu utwór pieśniarzu naszego długo jeszcze zapewne budzić będzie żywe zajęcie, zachwyt i współczucie w sercach pokoleń następnych. Więc nie przesadzają ani trochę ci, którzy z okazyi jubileuszu niedzielnego życzą „Halce“ Moniuszki tysiącznego przedstawienia na scenie warszawskiej... Oby go nawet doczekać na niej mogło pokolenie obecne!

W. B.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

POWIEŚĆ. A Krechowiecki: „O tron,“ powieść histor. z XVII w., cz. III: „Sława.“ Grendyszyński.

— St. Krzywoszewski: „Zmierzch.“ Grendyszyński.

— M. Rodziewiczówna: „Nieoswojone ptaki.“ Grendyszyński.

— A. Gruszecki: „Nawrócony,“ str 466. J. Fiszer.

POEZYE. Józef Krajewski: „Odrodzenie,“ poemat, str. 78. J. Fiszer.

FILOZOFIA. Dr. H. Gomperz: „Krytyka hedonizmu,“ przekład A. Krasnowolskiego, str. 101. Wyd. *Przegl. filozof.* C. 75 kop.

— Zygm. Balicki: „Hedonizm jako punkt wyjścia etyki,“ str. 40. Wyd. *Przegl. filozof.*

— F. S.: „Szkice z dziejów filozofii.“ Warszawa. Druk Kowalewskiego. Str. 89, c. 40 kop.

HISTORYA. E. Luniński: „Na stos,“ kartka z czasów Jana III, str. 93. Grendyszyński.

LITERATURA. P. Chmielowski: „Metodyka historyi literatury polskiej,“ str. 293. Wyd. *Przegl. pedagog.*

FIZYKA. Dr. L. Silberstein: „Wstęp do dziedziny zjawisk elektro-magnetycznych.“ Cz. I: Niezmienne pole magnetyczne, z 61 rys., str. 192. Druk Kowalewskiego. C. 1 rb.

WYD. PERYODYCZNE. „Przegląd filozoficzny,“ rok III, zesz 4. Zawiera prace: W. Kozłowskiego, W. Biegańskiego, W. Witwickiego, A. Mahrburga, Z. Daszyńskiej, S. Grabskiego, L. Brzozowskiego. Str. 128.

— „Pamiętnik fizyograficzny,“ t. XVI, zawiera: Spostrzeżenia meteorologiczne za r. 1895; St. Doboszyński: Złoża rudy żelaznej w majątku Klucze; J. Paczoski: O florze poleskiej; B. Eichler: Mater. do flory grzybów. Str. 206. Wyd. Kasy Mianowskiego.

HYGIENA. Marya Linda: „Kilka słów z hygieny zębów dziecięcych.“ Wskazówki dla matek. Warszawa. Str. 44, c. 40 kop.

WYD. INFORMACYJNE. A. Bobiński i J. M. Bazewicz: „Przewodnik po Królestwie Polskiem. T. I, zesz. 1. (Cena przewodnika wraz z mapą w prenum. rb 8).

— „Kalendarz informacyjno - encyklopedyczny“ na r. 1901. Na dochód Pogotowia ratunkowego. 1 rb.

HANDEL. Wł. Żukowski: „Bilans handlowy gub. Królestwa Polskiego.“ Wyd. *Słowa.*

POEZYE

Smutna Godzina.

Ziemia — odarta ze zbóż malowidła,
Tętnem skowronków już nie gra powietrze,
W ciszy wiatr tylko rozciąga swe skrzydła,
A, gdy się z drugim w pustych polach zetrze,
Przed majestatem słońca, co lśni krwawo,
Jak pióropuszem — pyszni się kurzawą.

Smutna godzina, choć i pełna czarów:
Lilie i róże — w niebieskim namiocie,
Las, niby wojsko stubarwnych sztandarów,
W rdzawych pancerzach, w purpurze i złocie
Stoi spokojny w posępnej zadumie,
Jak świetna armia, która ginąć umie.

Splot rzeki martwy, niby smuga rtęci,
Zdaje się krzepnąć w żółtawem łożysku,
I tylko czasem w jakimś nagłym błysku
Ocknie się falą, jak zmarszczką pamięci,
Przypomni wylew, czas wiosny uniesień —
I o brzeg trąci szeptem: wieczór, jesień!..

Wieczór i jesień! i smutno podwójnie!
Żniwa minęły, a nie widać plonów,
Pełzają rude plamy wśród zagonów,
Co kwitły w maju poranek tak bujnie;
I ciężko myśleć, co dadzą zasiewy,
Czy kłos ziarnisty, czy też tylko plewy?..
Z rozbitem sercem, z roztęsknioną duszą
Błądzę w żałośnych obszarach bez końca,
Gdzie w przepaść płyną krwią rydwany słońca,
Gdzie lasy w wichrach złote kopje kruszą,
Gdzie w rzekach martwych wzdycha fala rzewna:
—Wszystko wątpliwe, śmierć jedna jest pewna!

G. Daniłowski.

O prawdę.

Szanowny Redaktorze!

K. Ch., omawiając odczyty biologiczne, wygłoszone w Muzeum przemysłu i rolnictwa, zaznaczył wzmiankę w moim odczycie o Hugonie Kołłątaju, jako poprzedniku Lyella.

Otóż, oświadczam, że o stanowisku Kołłątaja w dziejach geologii dowiedziałem się od p. W. Nałkowskiego, który w przygotowywanych do druku „Szkicach geograficznych“ stanowisko to wykaże.

Szanowny sprawozdawca uważa użytą przezemnie formę „przodki (=przodkowie)“ za *nalecialość,* ja zaś za jedynie właściwą. Czyż należałoby mówić: „jednokomórkowi przodkowie tkankowców,“ „olbrzymi przodkowie paproci,“ „jurscy przodkowie gadów,“ „prastarzy przodkowie gąbek“ itp.?

Wacław Jezierski.

KRONIKA.

Jubileusz. Dnia 16 b. m. znakomity fortepianista, Aleksander Michałowski, obchodzić będzie 25-letni jubileusz pracy artystycznej i nauczycielskiej i tegoż dnia odegra koncert w sali Ratuszowej. Urodził się 1851 r. w Kamieńcu Podolskim. Kształcił się zaś w Lipsku u Reineckego, Tausiga i Moschelesa; tamże (w Gewandhausie 1869 r.) pierwszy raz koncertował. Do Warszawy przybył w r. 1875 i grał po raz pierwszy w Towarzystwie muzycznem. Od lat kilkunastu jest profesorem najwyższego kursu fortepianowego w warszawskim Instytucie muzycznym. Jako nauczyciel, położył wielkie zasługi i wykształcił wielu zdolnych artystów. Jego gotowość do udziału w koncertach na cele dobroczynne jest znana. Jako człowiek, zyskał sobie szacunek i sympatyę w szerokich kołach.

Szkoły. Ministeryum oświaty poruszyło projekt nadania wszystkim prywatnym zakładom naukowym praw szkół rządowych odpowiedniej kategoryi. Zarazem ma być powiększony nadzór nad szkołami prywatnemi, nie przez utworzenie jednak nowych posad rewizorów okręgowych, lecz przez delegowanie na rewizye najbardziej doświadczonych pedagogów szkół rządowych.

— Otwarcie politechniki petersburskiej z powodu nieprzewidzianych trudności odłożono do września 1902 r.

Zdrowie publiczne. Ministeryum komunikacyi zatwierdziło zorganizowanie na kolejach żelaznych pomocy akuszeryjnej i w tym celu poleciło urządzić izby położnicze. Sprawa ta przedtem jeszcze będzie roztrząsana na zjeździe lekarzy kolejowych.

— Dotychczas obłąkanych na ulicach Warszawy obok powierki i nieustannego drażnienia przez tłuszczę nieletnią, traktowano jak włóczęgów i złodziei. Z braku miejsca zabierano ich do aresztów policyjnych nawet na czas dłuższy w celu wyjaśnienia osobistości tudzież stwierdzenia choroby. Obecnie władza policyjna, widząc całą niestosowność takiego traktowania nieszczęśliwych, wystąpiła z projektem urządzenia osobnego tymczasowego oddziału dla umieszczenia dotkniętych chorobami umysłowemi, na 12 osób (w połowie dla mężczyzn i kobiet). Chorzy znajdą tam tymczasowo schronienie aż do chwili umieszczenia ich w szpitalach specyalnych. W tym celu osobna komisya pod przewodnictwem inspektora urzędu lekarskiego opracowała odpowiednie plany, projekty i kosztorys na utrzymanie proponowanego oddziału, na który, wedle obliczenia budowniczego, potrzeba 25,000 rb., nadto na zaopatrzenie oddziału w niezbędne przedmioty 1,583 rb. 49 kop., ogółem 26,583 rb. 49 kop. O udzielenie tego funduszu zwrócono się do zarządu miejskiego.

— Z powodu panującej epidemii ospy, zarząd kolei żelaznych wydał polecenie, aby chorych przewożono wyłącznie w osobnych przedziałach 3 klasy. Przy chorym powinien być felczer.

— Departament górniczy postanowił przystąpić do wszechstronnego zbadania przyczyn częstych zasłabnięć w fabrykach, zakładach przemysłowych i kopalniach; jednocześnie postanowiono ulepszyć stronę sanitarno-lekarską w tych zakładach, które znajdują się zdala od miast.

— Właściciel kilku willi w Garbatce pod Radomiem, p. Janni, stara się u zarządu dóbr państwa o wydzierżawienie mu na lat 99 obok stacyi Garbatka 8 działków lasu, na których ma powstać sanatoryum dla chorych piersiowych i kilkanaście domów mieszkalnych.

— Za parę tygodni w Petersburgu odbędzie się zjazd lekarzy gubernialnych, na którym między innemi podniesiona będzie sprawa energicznej walki z syfilisem.

Poczta. Dnia 14 stycznia r. p. wejdą w użycie nowe 7 i 14 kopiejkowe marki pocztowe, zamiast dotychczasowych, które zupełnie będą wycofane. Nowe marki, już przygotowane przez główny zarząd pocztowy, obecnie są rozsyłane do urzędów pocztowych.

— W Lublinie otrzymano zawiadomienie, że z polecenia zarządzającego ministeryum spraw wewnętrznych od d. 14 stycznia r. p. zniesiony będzie lubelski okrąg pocztowo-telegraficzny, przyczem biura pocztowo-telegraficzne w gub. Lubelskiej będą zaliczone do grodzieńskiego okręgu pocztowo-telegraficznego.

Ruch kobiecy. Na kongresie Towarzystwa dobroczynności w Paryżu pani Salomea Chwatówna z Warszawy przemawiała o potrzebie opieki nad dziećmi-sierotami, oraz nad temi, które są ofiarami znęcania się i srogości własnych rodziców. Odczyt, w którym p. Chwatówna odmalowała wymownie swoje i cudze zasługi w tej sprawie, był dobrze przyjęty przez zgromadzenie.

— Minister sprawiedliwości, zgodnie z Najwyżej zatwierdzoną w d. 22 maja r. b. uchwałą komitetu ministrów, zatwierdził przepisy czasowe o dopuszczaniu kobiet do zajęć w biurach, podwładnych ministeryum sprawiedliwości. Kobietom będą powierzone czynności, które dotychczas wykonywane były wyłącznie przez urzędników kancelaryjnych i dyetaryuszów, a mianowicie: przepisywanie, prowadzenie ksiąg, buchalterya, korekta, nadzór nad bibliotekami itd. Pierwszeństwo w otrzymaniu posady w instytucyach ministeryum sprawiedliwości będzie przysługiwało wdowom, żonom i niezamężnym córkom lub siostrom urzędników tegoż ministeryum, przyczem kobiety z żadnych praw emerytalnych nie korzystają. Mogą natomiast otrzymywać zapomogi na równi z innymi urzędnikami z funduszów, pozostających w rozporządzeniu różnych instytucyj ministeryum sprawiedliwości.

Gospodarka miejska. Na odbytem ostatnio kolegialnem posiedzeniu zarząd miejski zadecydował ostatecznie budowę rzeźni centralnej we wsi Koło pod Warszawą, według planów, opracowanych przez inżeniera Wojewódzkiego. Przy rzeźni tej urządzone mają być targowiska dla bydła, zakład utylizacyjny i rzeźnia końska. Fundusz niezbędny na ten cel w wysokości 3,500,000 rubli ma być pozyskany od kapitalistów warszawskich.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego w Olkuszu (gub. Kieleckiej).

— Zatwierdzono ustawę nowej kasy oszczędnościowo-pożyczkowej dla drobnych przemysłowców, kupców i rzemieślników w Warszawie.

Zmarli. Oskar Wilde, pisarz angielski, w Paryżu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Horodeckiemu w Połukni. W roku bieżącym nadpłacił Sz. Pan 2 rb., które przenosimy w rachunku prenumeracyjnym na rok przyszły, 1901.

SPROSTOWANIE. W nr. 48, w szpalcie 3, w art. *Potrzeba reformy,* zam. „Zabornik,“ powinno „Latarnik.“

OGŁOSZENIA.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

dodaje w r. 1901 prenumeratorom (bez żadnej dopłaty)

12 tomów pism H. Sienkiewicza

zawierających między innymi „QUO VADIS.“

W Tygodniku illustrowanym ukażą się:

K. Tetmajera powieść „Panna Mery.“
E. Orzeszkowej nowela „Z różnych dróg.“
W. Sieroszewskiego powieść „Jang-Hun-Tsy.“
H. Sienkiewicza i Bol. Prusa najnowsze wielkie powieści.

T. T. Jeża „Od kolebki przez życie,“ pamiętnik.
Pamiątki Warszawy, Krakowa oraz **polskie pamiątki w Paryżu i Wersalu** — z licznemi illustracyami.
W dodatku arkuszowym: **najlepsze powieści zagraniczne.**

PRENUMERATA „Tygodnika Illustrowanego“ wynosi w Warszawie: rocznie rb. 8, kwartalnie rb. 2; z przesyłką rocznie rb. 12, kwartalnie rb 3. Oprawa 12 tomów Sienkiewicza rb. 2.

☞ Komplet 24 pierwszych tomów Sienkiewicza rb. 10, w oprawie rb. 14.

Adres redakcyi „Tygodnika Ilustrowanego“.
Krakowskie-Przedmieście 17, w Warszawie.

GAZETA POLSKA

Daje wszystkim swoim prenumeratorom w r. 1901

jako bezpłatne premium

pomnikowe dzieło,

p. t. „Historya XIX stulecia“

(blizko 3,000 illustracyj.)

Dzieło to prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ będą otrzymywali w formie zeszytów albumowych, stanowiących bezpłatne Dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej“.

„Historya XIX stulecia“ z 3,000 illustracyi wychodzić będzie we wspaniałem wydaniu, na welinowym papierze w formie wielkiej 8-ki, z pięknemi illustracyami, z tekstem opracowanym świetnem piórem Józefa Tokarzewicza (Hodiego), przy współudziale grona specyalistów. Obejmie ono wszystkie objawy życia upłynionego wieku: wojny i dyplomacye, wynalazki i udoskonalenia techniczne, podbój innych części świata przez Europę, rozwój pojęć filozoficznych i historyę nauk, literaturę, sztukę i muzykę, przemysł i handel, obyczaje mody i t. d. Wszystko, czemkolwiek ludzkość interesowała się w ciągu tego stulecia, wszystko, co osiągnęła, odbije się na kartach tego dzieła w świetnych opisach i doskonałych illustracyach, a na rzeczy polskie zwrócona będzie szczególna uwaga.

Cena Gazety Polskiej wraz z „Historya XIX stulecia„ w bezpłatnych Dodatkach tygodniowych. **W Warszawie:** Rocznie rb. 9.60, półrocznie rb. 4.80, kwartalnie rb. 2.40, miesięcznie kop. 80. — **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 12, półrocznie rb 6, kwartalnie rb. 3.

Kto nie prenumeruje Gazety Polskiej, może nabywać całość lub zeszyty „Historyi XIX stulecia“ osobno; w takim razie opłata wynosi:

Cena „Historyi XIX stulecia“ osobno za całe dzieło rb 20.
" " " " osobno, w prenumeracie za zeszyt k. 25.
" " " " z przesyłką pocztową za zeszyt k 35.

Opłacający za całe dzieło z góry nie ponoszą kosztów przesyłki.

Adres wydawnictwa „Gazety Polskiej“ i „Historyi XIX stulecia z 3,000 illustracyj:

Warszawa, Warecka 14.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego:

Tom I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 kop. 50.**

Tom II: Tragikomedya prawdy: On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.—Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 kop. 20.**

Tom III: Bajki: Krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafne, Dwa widma, Dwaj filozofowie, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 kop. 20.**

Tom IV: Piękna, Aspazya. **Rb. 1 kop. 50.**

Tom V: Trylogia Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aureli Wiszar, Regina. **Rb. 1 kop. 50.**

Tom VI: Antea, Na targu, Helwia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 kop. 20.**

Tom VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 kop. 50.**

Do nabycia w Administracyi *Prawdy*.

NAJWIĘCEJ ROZPOWSZECHNIONE PISMO POLSKIE

KURJER WARSZAWSKI

wychodzi codziennie, w dni powszednie wieczorem, a w Niedzielę i Święta rano.

Nadto wychodzą stale w dni powszednie

BEZPŁATNE DODATKI PORANNE

zawierające wszelkie najnowsze wiadomości z ostatnich 12-tu godzin. **Tym sposobem czytelnicy otrzymują tygodniowo 7 półtora do dwuarkuszowych i więcej numerów głównych i 6 półarkuszowych dodatków porannych**

„KURJER WARSZAWSKI“

liczy rok 80 istnienia i jest w stosunku do bogatej i urozmaiconej swej treści

najtańszem pismem polskiem.

WARUNKI PRENUMERATY:

(Wraz z dodatkiem porannym): **w Warszawie:** rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 k. 50, kwartalnie rb. 2 k. 25, miesięcznie kop. 75. Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie kop. 10.

Z przesyłką pocztową: rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3, miesięcznie rb. 1.

Za granicą: rocznie rb. 18, półrocznie rb. 9, kwartalnie rb. 4 kop. 50, miesięcznie rb. 1 kop. 50.

WARUNKI OGŁOSZEŃ:

Małe ogłoszenia za jeden wyraz po 3 kop. każdy raz, ogłoszenie minimum 30 kop. **Zwyczajne** ogłoszenia za jeden wiersz petitowy lub jego miejsce pierwszy raz 12½ k., każdy następny raz 10 kop. **Nekrologia:** za wiersz 20 k. **Reklamy:** za jeden wiersz garmontowy albo jego miejsce pierwszy raz 30 kop., każdy następny raz 25 kop. **Nadesłane:** za jeden wiersz garmontowy rb. 1.

Adres Redakcyi: Warszawa, Krakowskie Przedmieście Nr. 40.

KWIATY SZTUCZNE

do koszów i żardinier, w wielkim wyborze poleca:

JAN BOHUSZEWICZ,

Złota 38.

Ceny fabryczne.

Zamówienia na prowincyę wysyłam za zaliczeniem pocztowem.

Do nabycia w Administracyi *Prawdy*

J. H. Tylor:

Zmyślność i moralność roślin

tłom. J. K. Potocki.

Cena w ozdobnej oprawie 1 rb. 20 k.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Tanie wydanie dzieł Wiktora Hugo:

Pracownicy morza — 4 tomy 90 kop., w ozdobnej opr. 1,20 k., z przesyłką o 20 k. drożej.

NĘDZNICY — 10 tomów 1,80 k., w ozd. opr. 2,50 kop., z przesył. 30 k. droż.

Kościół Panny Maryi — 4 tomy 75 k., w ozdob. opr. 1,10 kop., z przesyłką o 20 kop. drożej.

Wypisujący wszystkie trzy dzieła razem wprost z księgarni nakładowej **S. Bukowieckiego, Marszałkowska nr. 100, żadnych kosztów przesyłki nie ponoszą.** — Księgarnia dostarcza również wszelkie książki i nuty oraz pisma peryodyczne.

Wydawnictwa „Prawdy“

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rb. 3.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii—rb. 3.

Dr. Med. L. Wolberg. **Psychologia dziecka**—rb. 2, Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rb. 3.

Huxley — Rosenthal. **Zasady fizyologii** — rb 2.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rb. 1.

H. Posnett. **Literatura porównawcza** — rb. 2.

N. Hirszband. **Byron w urywkach** — kop. 50.

K. Lewald. **Historya XIX w.,** od r. 1800—1888 — rb. 3. k. 30.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej,** tomów dwa—rb. 2.

Prof. R. Falkenberg. **Historya filozofii nowożytnej,** w przekładzie W. M. Kozłowskiego — rb. 2 kop. 40.

Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana). Cena zniżona — rb. 1 kop. 50. Egzemplarze oprawne o 20 kop. drożej.

Dr. J. Dallemagne. **Człowiek zwyrodniały** — rb. 2.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.**

A. Maksimow. **Syberya i ciężkie roboty,** tłom. Z. Piotkiewicz.
Część II Winni i oskarżeni — rb. 1 k. 20.
Część III: Przestępcy polityczni i państwowi—rb. 1 k. 20.

Na koszta przesyłki do każdego rubla zwykłej ceny należy dołączyć kop. 15.

Redaktor i wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Ноября 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.